

Sławomir Tomasz Roch  
rycerzniebieski@wp.pl

„ [...] Zauważyłam, że ojciec jest niemal załamany, jego szczerą nadzieję się nie spełniły, okazało się bowiem, że nawet Kohyleńcy mogą się na nas rzucić, jak zgłodniałe wilki na bezbronne i niewinne owce. Tego się rzeczywiście do końca nie spodziewałam, **on który tyle lat przeżył wśród tych ludzi, który tyle dobrego dla nich uczynił i który również tyle dobrego z ich strony doświadczył, sądził dotychczas, że ma moralne prawo taką nadzieję mieć. Teraz jednak już sam rozsądek, słusznie nakazywał mu taką nadzieję porzucić. W jego życiu, coś się definitywnie skończyło**, na tym etapie bowiem budowanie zgodnego współistnienia Polaków i Rusinów obok siebie, nie miało już żadnych, najmniejszych szans. Pozostawało dwa wyjścia: walczyć z bronią w rękę, ratować ludzi i to wszystko, nad czym całe życie z mozołem ciężko pracowałam, albo porzucić wszystko i z duszą ratować siebie i najbliższą rodzinę, uciekając do miasta. Miał tu rzeczywiście, niemały orzech do zgryzienia. [...] Janina Topolanek z d. Rusiecka

*W iskrze lęk zgaszę i niczym meteor w czerń zapadnę  
Choć przegram świat z Tobą, na wieczność zmartwychwstanę!  
Sławomir Tomasz Roch „Kocham i Trwam”*

## **WSPOMNIENIA JANINY TOPOLANEK Z D. RUSIECKA Z KOLONII TERESIN W POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1930 - 1945**

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Maryja zawsze dziewica. Nazywam się Janina Topolanek, mam 83 lata, mieszkam we wsi Grochowa 21, gmina Bardo Śląskie, powiat Wałbrzych, woj. Dolnośląskie. Urodziłam się w roku 1921 we wsi Swojczów, gm. Werba, powiat Włodzimierz Wołyński, woj. Wołyńskie. Mój tatuś miał na imię Jan Rusiecki, a mamusia Zofia z domu Kalinowska. Miałam dwóch wspaniałych i kochanych braci: Leonarda i Stanisława oraz pięć rodzonych sióstr: Leokadię, Antoninę, Michalinę, Adelę i najmłodszą Halinę. Ochrzczona zostałam w Kościele katolickim w Swojczowie, moja mamusia chrzestna to Józefa Krzaczkowska, a tatusiem był Antoni Kalinowski, rodzony brat mojej mamusi. Nasz dom rodzinny stał blisko Kościoła, a naszymi sąsiadami byli Polacy: Czebowski i Mierzejewski. Gdy po pewnym czasie, tatuś dokupił pola na nowej kolonii polskiej Teresin, pobudował tam nowy dom i nowe budynki gospodarcze. Zamieszkaliśmy tam w 1928 r., dlatego moje dzieciństwo upływało szczęśliwie jeszcze w Swojczowie.

### **MIŁOŚĆ NIEPOKALANEJ**

Już jako dziecko bardzo lubiłam chodzić do Kościoła, do Matki Bożej, zdarzało się często, że latałam tam nawet bosa. Wydawało mi się, że Maryja z tego Obrazu zawsze patrzy na mnie i to bez względu na to, gdzie zatrzymam się w Kościele. Raz jeden, przyszła do naszej świątyni, jakaś Ukrainka i miała chyba takie same odczucia i myśli jak i ja, bowiem zaczęła chodzić po Kościele z miejsca w miejsce, patrząc przy tym uważnie na łaskami słynący Obraz. W końcu, za którymś razem stanęła i powiedziała głośno tak: „*Mat Boża, szo Ty mene ne poznała? To ja Maryna z Bondjuchy*”. Kiedy rodzice po raz pierwszy opowiedzieli mi, o tej zabawnej scenie w naszym domu, od tej pory, często biegałam do naszego Kościoła i zaglądałam na Obraz, jak ta legendarna już Maryna.

Poza tym rodzice, często zabierali mnie i moje rodzeństwo do Kościoła na niedzielną sumę, która była zwykle o godzinie 11.00, podobnie w każde większe święta. Tym bardziej, że nasz tatuś dobrze znał proboszczów i utrzymywał z nimi bliskie kontakty, gdyż jako sołtys pomagał jak umiał naszej parafii. Poza tym, należał także do Rady Parafialnej, złożonej z trzech osób, oprócz niego w skład rady wchodził jeszcze dwaj Polacy: Syzdul z koloni Wandywola oraz Rynkiewicz ze Swojczowa. Tatuś służył w ten sposób przez całe lata, aż do momentu, gdy przeprowadził się na Teresin. W tym czasie brał czynny udział w wielu pracach przy naszej parafii, udzielał się tak jak potrafił najlepiej, szczególnie wkład miał przy budowie naszej parafialnej dzwonnicy. Gdy ja byłam jeszcze dzieckiem proboszczem, był ksiądz Chołobecki, ale właściwie nie zdążyłam już go poznać, bowiem zmarł i został pochowany na naszym cmentarzu. Pamiętam jednak uroczystość pogrzebową. Po nim nastał ks. Witold Kurowski i kierował naszą parafią, co najmniej przez kilka lat, doszło jednak do jakichś nieporozumień i na jego miejsce przyszedł ksiądz staruszek z Sielca.

Ponieważ jednak nie dawał sobie rady, został przeniesiony w inne miejsce, a wtedy przyszedł do nas młody i energiczny ksiądz Franciszek Jaworski.

Uroczystość I Komunii Świętej przeżywałam jeszcze w Swojczowie i pamiętam, że już od wczesnej wiosny, chodziłam na nauki, które prowadził ks. Kurowski. Tego szczególnego dnia, było bardzo pięknie, zgromadziło się dużo dzieci, a wszystkie były pięknie poubierane i ja też miałam ładną, białą sukienkę. Cieszyłam się, że po raz pierwszy przyjął Pana Jezusa do swojego serduszka. Po błogosławieństwie ks. Witold zrobił dla nas przyjęcie, tuż przy Kościele, gdzie obok plebani ustawione były stoły, a na nich ciasto i herbata. Potem wszyscy wróciliśmy do naszych domów, a tam już zwykła codzienność, dosłownie zdjęłam piękną sukienkę i „pogoniłam krowy na łąkę”. Wieczorem była jeszcze jedna Msza Święta w naszej świątyni i po niej ks. Witold wręczał nam pamiątkowe Obrazki oraz chętnie się z nami fotografował. W naszej wsi mieszkało bardzo dużo Polaków, choć Ukraińców moim zdaniem było nieco więcej, nic więc dziwnego, że podczas wspólnych zabaw, częściej zdarzało nam śpiewać po ukraińsku, niż po polsku. W tamtym czasie nie było między nami niezgody, nie przypominam sobie, abym słyszała, że gdzieś Ukraińcy prześladowują Polaków. Przeciwnie, bawiliśmy się ładnie i zgodnie, właściwie nie było żadnej różnicy. Do dziś pamiętam dobrze słowa, jednej z naszych ulubionych piosenek: „CHUSE, CHUSE GA GA GA, JASKOTITIE DA DA DA, IDIT DAMOJ WOLK ZAGOROJ!, SZO ON TAM ROBIT?! CHUSE SZCZEPIT”

Pragnę podkreślić, że także nasi rodzice żyli z Ukraińcami w zgodzie, a wspólnie spędzane święta i gościny nie należały do rzadkości. Przypuszczam, że gdyby ktoś w tamtym czasie i podczas tamtych beztrudnych dni, prorokował, nawet w obecności łaskami słynącego Obrazu Matki Bożej Swojczowskiej, że za kilkanaście lat, ci sami Ukraińcy, a przynajmniej niektórzy z nich, siekierami wyrąbiają, nożami wyreżają tutejszych Polaków, a naszą piękną świątynię, obrócą w kupę gruzów, po prostu uznano, by go za wariata. Czuję się w tym sądzie odpowiedzialna bowiem nasz tatuś Jan, był przez 25 lat sołtysiem naszej pięknej i dużej wsi Swojczów, oraz przylegającej do nas Wólki Swojczowskiej. Więc doskonale orientował się w miejscowych realiach, rozumiał tutejszych ludzi oraz znał ich problemy i bolączki dnia powszedniego. I choć wiele nam w domu opowiadał, o swojej pracy i jej charakterze przy różnych okazjach, ale nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek wspomniał, że Ukraińcy są niespokojni, wręcz burzą się przeciwko Polakom, organizując jakieś strajki, czy wystąpienia antypolskie. O współpracy z Ukraińcami wyrażał się raczej dobrze i jeszcze dziś mogę odnieść wrażenie, że częściej bronił Ukraińców, jak samych Polaków. Sami Ukraińcy szanowali go i chętnie oddawali na niego swoje głosy, podczas kolejnych wyborów sołtysa i głosowań. Miał tatuś dobrą opinię, często mawiano: „*Rusiecki Jasio to porządny człowiek i można mu zaufać.*”

Naszego proboszcza ks. Franciszka Jaworskiego, pamiętam jeszcze z lat dziecińczych, byłam już podrostkiem, kiedy przyszedł do naszej parafii. Od razu mi się spodobał, ale nie tylko mi, ogół naszych wiernych, właściwie wszyscy cieszyli się, że trafił się nam taki kapłan. Był młody, zdrowy, bardzo pobożny i co ważne miał piękny, męski głos. To się naszym Swojczakom musiało podobać bowiem w naszych stronach ludzie kochali śpiewać. Bardzo podobały mi się jego kazania w Kościele, mówił płynnie i mądrze, naprawdę, aż chciało się tego słuchać. Poza tym, był dobrym gospodarzem i sam niekiedy, pomimo wielu obowiązków, pracował w polu, osobiście widziałam go niekiedy, jak kosił łąkę. Przy czym, już wtedy byłam świadoma tego, że wcale nie musi tego robić, w naszej parafii, było dość chętnych i parobków, którzy na jedno jego słowo, gotowi byli to zrobić, jak to się mówi; bez dwóch zdań. A jednak, lubił niekiedy, tak sobie popracować i wtedy i dziś myślałam o tym dobrze i był to dla mnie bardzo pozytywny przykład.

Nawet mój tatuś, mający trzeźwy umysł, wiedzę oraz spore doświadczenie życiowe, miał o nim jak najlepsze zdanie. Cieszył się szczerze, że właśnie nasza parafia dostała tak zdolnego kapłana, który potrafił ożywiać nas wszystkich, nie tylko modlitwą, przykładem głębokiej wiary, ale nadto jeszcze jego czyny, potwierdzały świętość jego pracy. Dla przykładu kiedy nasz proboszcz dowiedział się, że ja i inne dziewczyny chodzimy na ćwiczenia wojskowe, widząc nasz zapał oraz to, jak jesteśmy przy tym dzielne, zaproponował abyśmy udzielały się także w Katolickim Stowarzyszeniu, działającym przy naszej parafii. Ja, moja siostra oraz wiele innych dziewcząt, postanowiłyśmy, że będziemy uczęszczać na te spotkania i brać w nich żywy udział. Poza tym, ogół naszych wiernych, od początku wiedział, że ksiądz Jaworski jest z powołania także żołnierzem, kapelanem wojskowym.

## ODPUSTY W SWOJCZOWIE

Najbardziej podobały mi się w Swojczowie Odpusty i ten duży 08 września i ten mały 15 sierpnia. Obie uroczystości ściągały całe tłumy wiernych z naszej wsi, najbliższych okolic i z całej naszej parafii. Szczególne wrażenie robiły na mnie pielgrzymki, które przychodziły do naszej królowej swojczowskiej, nawet z tak odległych miejsc jak Sielec, Poryck, Łokacze, Kisielin, Włodzimierz Wołyński, Horodło i Uściług. Grupy te były różne, mniejsze i większe, wchodziły bardzo uroczysto ze śpiewem, z chorągwiami kościelnymi. Na przeciw nich wychodził ks. proboszcz z Radą Parafialną, w tym z moim tatusiem, który zawsze i dobrze, był poinformowany kto i kiedy przyjdzie. Zwykle pięknie się szykowano na przyjęcie każdej „Kompanii”, jak wtedy potocznie zwano takie grupy pielgrzymkowe. Kompanie zawsze witano chlebem i solą, a następnie radośnie zapraszano do naszego Sanktuarium Matki Bożej Swojczowskiej – Siewnej. Gdy tylko pielgrzymi przywitani się z Maryją i Panem Jezusem, gdy już się trochę pomodlili, wtedy zwykle rozpoczynali jakiś posiłek, bądź pilnie szukali sobie, gdzieś w pobliżu noclegu. Nie było to wcale takie trudne zadanie, bowiem nasi ludzie byli z natury bardzo gościnni i całym sercem przyjmowali pielgrzymów w swoich domach, nie było żadnych problemów, nawet wtedy, gdy trzeba było otworzyć stodoły. Osobiście byłam już przyzwyczajona, że na naszym podwórku, podczas tych dni, aż roilo się od spoconych, zmęczonych, ale przy tym, jakże uderzająco radosnych ludzi. Niemal w każdym kącie, ktoś odpoczywał, spożywał posiłek, mył się czy przebierał. Tatuś już na kilka dni wcześniej, przygotowywał naszą stodołę na przyjęcie, większej liczby pątników, była bowiem położona stosunkowo blisko naszego Sanktuarium.

Odpusty to oczywiście nie tylko pielgrzymi, mnie najbardziej interesowały, przyznam się bez bicia: słodczyce i wymyślne zabawki, które rokrocznie przywozili kramarze, dosłownie oblegani przez tłumy dzieci i młodzieży. Każdy szukał swoich ulubionych świecidełek i słodczy, robiono przy tym taki harmider i panował taki ścisk, że nawet dziś można to skwitować krótko i rzeczowo, po prostu: Odpust w Swojczowie. Ja i moje siostry dostawałyśmy zwykle po 20 gr., przy czym jeszcze się dobrze człowiek nie obrócił, a już ich nie było, w tej sytuacji leciałyśmy do naszego taty z prośbą o kolejne, tak kochane pieniążki. Nasz tatuś, był tu dla nas zwykle wyrozumiały i powściągliwy, ale jednego razu, chyba przebrałyśmy miarkę bowiem, tak się na nas rozeźlił, aż nie wytrzymał i powiedział: „*A gdzie ja wam narobię, toż dopiero wam dawałem.*” W tym momencie nasza czteroletnia siostra Michalinka, zaraz pospieszyła mu z pomocą, mówiąc: „*Idź, siądź na schody i powiedź*”: „*O Maryjo, o cho chocho, o cho chocho! Ludzie dają do kapelusza.*” Jak nasz tatuś to usłyszał, sama już nie wiem, ale chyba już bardziej żartem, niż poważnie, robiąc groźną minę powiedział: „*Ty już mnie zawczasu wysyłasz pod kościół wyciągać rękę? A jak ty urośniesz to ja będę mógł liczyć na ciebie?*” Pamiętam, że śmiechu było z tego co nie miara, szczególnie gdy ojciec opowiadał to naszym gościom – pielgrzymom na naszym podwórku.

Każda uroczystość gromadziła w Kościele bardzo dużo ludzi, także że w środku panował dość duży ścisk i jeśli ktoś pragnął uczestniczyć w nabożeństwie w Kościele, to musiał przychodzić grubo wcześniej. Ci którzy przyszli później, zwykle zmuszeni już byli pozostawać na zewnątrz naszej świątyni, ale i oni mogli modlić się w miarę spokojnie bowiem wokół Kościoła zbudowany był wysoki mur. Dodatkowo, było też szerokie poddasze, które chroniło wiernych skutecznie przed deszczem i słońcem. Na wspomnienie, zasługuje także atmosfera jaka panowała w naszej rozmodlonej wspólnoty bowiem była naprawdę szczególna. Na rozpoczęcie każdego nabożeństwa wszyscy przyklekali i wtedy wdzięcznie zaczynał grać dzwoneczek, a lud z miłością i pokorą śpiewał tę, tak ukochaną przez nas Swojczaków pieśń, oto jej słowa:

WITAJ ŚWIĘTA WNIEBOWZIĘTA, NIEPOKALANA  
MARYJA ŚLICZNA LILIIA, NASZE KOCHANIE  
WITAJ CZYSTA PANIENKO  
NAJJAŚNIEJSZA JUTRZENKO X 3  
WITAJ ŚWIĘTA WNIEBOWZIĘTA, NIEPOKALANA

I na koniec: WIĘC CIĘ ŚLAWION, BŁOGOSŁAWION  
ŚLICZNA MARYJA, NASZE KOCHANIE

Takie mniej więcej słowa śpiewano kiedy nabożeństwo się kończyło, a poza tym cała ta sceneria wyglądała właściwie tak samo, jak na rozpoczęcie. Niestety nie pamiętam już dziś, co znajdowało się na tym Obrazie, który zasłaniał Obraz Matki Bożej Śnieżnej, był bowiem dość ciemny. Pamiętam za to słowa modlitwy, odmawianej przez wieki przed naszą Królową, oto one:

***Pod Twoją obronę uciekam się z ufnością, o Maryjo, pewna strapionych pociecho. Wszakże na tym miejscu uciekających się do Ciebie w smutku i nieszczęściu cieszyła i ratowała. Pociesz mnie i ratuj, o cudowna Maryjo, w smutku i utrapieniu, a osobliwie w godzinie mojej śmierci. Amen.***

Mieliśmy też dwa boczne Ołtarze, po prawej stronie znajdował się na pewno św. Antoni, a po lewej wydaje mi się, że św. Mikołaj. Po zakończonych uroczystościach, była u nas zawsze procesja dookoła Kościoła, zwykle obchodziliśmy świątynię, tylko jeden raz, ale na Wielkanoc to obowiązkowo trzy razy. Pragnę wspomnieć także swojczowską uroczystość Bożego Ciała. Przed wojną, to była jedna wielka manifestacja naszej katolickiej wiary. Do trzech Ołtarzy rozstawionych na terenie wsi: pierwszy przy murze kościelnym, drugi u Polaka Gronowicza, a trzeci tuż obok domu pana Andrzeja Rusieckiego, czwarty znajdował się już w obrębie samego Kościoła, do tych czterech szła piękna i rozśpiewana nasza wspólnota parafialna. Chociaż osobiście nigdy nie sypałam kwiatków, wiele innych dziewczynek, wdzięcznie zasypywało drogę, którą kroczył Pan Jezus, płatkami świeżych kwiatków. Młodzież nasza choć uboga, była postawna i piękna, a przede wszystkim dobrze wychowana, w znaczeniu miła, uprzejma, kochająca życie i niezwykle radosna. Rzeczywiście potrafiliśmy cieszyć się życiem i miłością i wogóle nie potrzebowaliśmy do tego telewizorów. Może nawet właśnie ich brak, pozwolił nam na wykształcenie takich form spędzania, wspólnie wolnego czasu, że wręcz tryskaliśmy chęcią do życia.

Tysiące pomysłów mieliśmy zawsze, aby nasz wspólny odpoczynek był radosny. Ten czas uważam za jeden z najbardziej radosnych i szczęśliwych w moim życiu, szczególnie kochaliśmy śpiewać, a i owszem, nawet nam to dobrze wychodziło. A dziś, czy można jeszcze spotkać rozśpiewaną rodzinę, pewnie można, ale na palcach policzyć. Przecież łatwiej włączyć telewizor, a tam gotowa, na talerzu podana, dla przykładu: „piosenka biesiadna” i jest i spokój. Każdy, doświadczony nieco życiem, doskonale wie jednak, że wszystko, co przychodzi szybko i łatwo, równie łatwo, a nawet jeszcze szybciej odchodzi i czy to się nie sprawdza na naszych oczach. Przecież każdy z nas widzi, jak umiera ta wspaniała tradycja rodzinnego śpiewania, a ludzie coraz częściej, naprawdę zamiast cieszyć się sobą i żyć pełnią życia, zaczynają się ze sobą zwyczajnie nudzić, a nawet męczyć. Chociażby wesela, dawniej trwały do rana, a teraz?! Ale w końcu, ile można jeść i rozmawiać o cenach samochodów na giełdzie. Tymczasem za mojej młodości śpiewaliśmy wszędzie, gdzie się dało, w naszych domach, w Kościele i w towarzystwie. A gdzieżby w tamtych czasach, spotkać kogoś na drodze, żeby tak bluźnił, jak to nasza młodzież dzisiaj czyni i to publicznie na naszych ulicach. Czasami gdy widzę i słyszę naszą młodzież, to tak sobie w sercu myślę: „Uchowaj Boże nasze dzieci, gdy oni wezmą władzę w naszym kraju w swoje ręce!” Ale nie tylko błoto w ustach młodych, może dać dużo do myślenia, w naszym Swojczowie, trudno było spotkać lekko pijanych, młodych ludzi na ulicy, może dlatego, że stosunkowo trudno było dostać wódkę.

Do szkoły chodziłam w Swojczowie, miałam tam wielu kolegów i koleżanek, z którymi miło i zgodnie spędzałam wolny czas. Nic więc dziwnego, że lubiłam chodzić do szkoły, poza tym był to czas wolny od wszelkich prac, których w domu, jak to na wsi, nigdy nie brakuje. Niestety warunki ekonomiczne naszej licznej rodziny sprawiły, że musiałam przerwać naukę w szkole, a potem tak się losy w życiu potoczyły, że do szkoły już więcej nie wróciłam. Gdy miałam 10 lat zamieszkałam na kolonii Teresin, gdzie rok wcześniej przeniosła się cała nasza rodzina. Tylko ja jeszcze ten jeden rok mieszkałam u dziadzia Karola Rusieckiego, bowiem wciąż chodziłam do szkoły.

#### **NA TERESINIE**

W zimie 1931 r. na stałe zamieszkałam w naszym nowym domu na Teresinie. Bardzo mi się tam podobało, wszystko było takie nowe i świeże, a stolarka i wykonanie takie nowoczesne. Podobnie prezentowały się nasze zabudowania gospodarcze. Miałam świadomość, że to wszystko własnymi rękoma zbudował nasz tatuś Jan, byłam z niego taka dumna, na samą myśl o tym tryskałam młodzieńczą radością. Poza tym, cała nasza kolonia była położona na skraju Lasu Kohyleńskiego, tak że do pierwszych drzew mieliśmy wszyscy, tylko rzucić beretem. Nie muszę

chyba wyjaśniać, że dla takiej dziewczyny jak ja, jeszcze właściwie dziecka, w porównaniu ze Swojczowem, to był właściwie raj. Dlatego często biegałam z moimi siostrzyczkami i innymi koleżankami do lasu, było tam dużo grzybów, w tym: podpieńnik, podgrzybków, a przede wszystkim tak lubianych i pięknych prawdziwków. To był piękny las, a mnogość poziomek na wyрубie przyprawiała nas o zawrót głowy i oczywiście niekiedy o zawrót naszych delikatnych jeszcze żołądków. Lubiliśmy także zbierać orzechy laskowe, aby potem podczas długiej mroźnej zimy, łamać sobie na nich nasze piękne zęby.

Teresin to była duża kolonia polska, rodzin ukraińskich było tylko dwie: gdzieś w połowie mieszkał Ukrainiec Środa wraz ze swoją rodziną, a na pograniczu z Wólką Swieczowską mieszkał jeszcze Hryc Stolaruk. Pierwsi moi koledzy to Stefan Kasperski i Mieczysław Kisielewicz i chociaż nie poszłam już więcej do szkoły, to naprawdę nie miałam czasu na nudy. Tak jak w Swojczowie, tym bardziej na Teresinie, nigdy nie spotkałam się z aktami wrogości, czy nawet niechęci ze strony Ukraińców do nas Polaków. Sytuacja ta, nie uległa zmianie przez całą moją młodość, aż do wybuchu II wojny światowej we wrześniu 1939 r.

### LATA PIĘKNE LATA MŁODE

Byłam dziewczyną młodą, byłam dziewczyną żywą, ach jak ja lubiłam się bawić, bardzo byłam ruchliwa i wszędzie było mnie pełno. Cieszyłam się życiem i ani w głowie był mi smutek, ani przez chwilę nie chciałam być mrukiem. I chociaż uważałam się za najbrzydszą wśród sióstr, o dziwo, sama nie mogłam w to uwierzyć, ale chłopcy poważali mnie i lgnęli do mnie jak do miodu. To było miłe i do dziś sprawia mi dużo radości, tym bardziej wtedy, gdy byłam młoda, a gibka jak sarna. Do dziś, stają mi przed oczyma nasze wspólne spotkania, w naszym sadzie spotykało się wówczas wiele młodzieży. Potrafililiśmy tak przesiadywać całe godziny, pośród wielu kawałów, niewinnych żartów i zdrowego śmiechu, lubiliśmy także pośpiewać sobie do woli. Nigdy nam się razem nie nudziło, znaleźliśmy przeróżne gry i zabawy i wcale nie potrzebowaliśmy innych, szczególnych atrakcji.

Dlatego dziś, tak sobie niekiedy rozważam: może dzięki temu, że za naszych czasów nie było telewizji, umieliśmy przynajmniej ze sobą naprawdę być i rozmawiać. Poza tym, jakże bardzo tamte dni i wieczory, kontrastują z tym stylem życia, któremu dzisiaj hołduje, tak duża liczba naszej, nieszczęsnej młodzieży. Bardzo głośna muzyka, właściwie to czasami ryk, a nie normalne śpiewanie, a jeśli nawet wykonanie właściwe, to zrozumieć z kolei nie można, alkohol, papierosy i te ich straszne „Dragi” jak to powiadają, chodzi oczywiście o narkotyki. Dziewczyny na naszych ulicach, niemal porozbierane do naga, brakuje tylko, żeby jeszcze w samej bieliźnie, zaczęły chodzić do naszych szkół, a nawet naszych Kościołów. Chłopcy gdy rozmawiają, tak niekiedy bluźnią i to coraz częściej, że aż dreszcze człowieka przechodzą, co o tym wszystkim myśli sobie Pan Bucek w niebie i jak bardzo musi go to ranić, a w końcu nawet gniewać. Czy my naprawdę jesteśmy skazani na ciągle przeżywanie doświadczeń, rodzących się z nieczystości, czyli zazdrości i zawiści?! Czy młodzi ludzie wiedzą, że owocami tych z kolei, są zabójstwa i potworne wojny?! To prawda, że konflikty nie opuszczą człowieczeństwa do końca, ale czy ktoś powiedział, że musimy je przeżywać, tak często i doświadczać aż takich cierpień. Nie moi kochani, to nie Pan Bóg się pomylił, ale człowiek sam jest kowalem swojego losu, a to, co posieje, to właśnie zawsze z nawiązką zbierze. Tak bardzo chciałabym przestrzec młode pokolenia, aby nie wystawiały cierpliwości naszego Pana na próbę, aby znowu w przyszłości, nie powtórzył się los naszych wołyńskich ojców, braci i sióstr. Aby znowu, nie płonęły całe osiedla ludzkie i ginęły w potwornych mękach, całe rodziny polskie, a nawet całe lokalne społeczności, bo człowiek był i wciąż w swoich niskich instynktach, także dziś, jest do tego bezwzględnie zdolny.

To tylko kilka przemyśleń, które niekiedy przychodzą mi do głowy, a wracając do tamtych dni na Wołyniu, radosnych i beztroskich, pamiętam jak często wyskakiwaliśmy do pobliskiego lasu. Mało nam brzuchy wtedy nie popękały, a śmiechu i przygody było przy tym, co nie miara. W niedzielę zwykle urządzano potańcówki, schodziło się na nie wiele młodzieży z Teresina, a nawet z pobliskich wsi i kolonii, przeważnie ze Smolarni i z Kohylna, a nawet ze wsi Kociór koło Włodzimierza. Młodzież nasza była postawna, a dziewczyny grzeczne, wszyscy się na ogół grzecznie bawili. Owszem zdarzały się i to dość często bójkki między chłopczyskami, przeważnie na tle zazdrości o panienki, ale nikt ich poważnie nie traktował, mówiło się: było, minęło, jutro będzie

lepiej. Podczas takich spotkań i zabaw często widywałam Bolesława Rocha, który podobnie jak ja, lubił bardzo śpiewać i tańczyć. Zapamiętałam jak radośnie wykrzykiwał: „KÓŁECZKO”, a za chwilę: „KOSZYCZEK”, do dziś pamiętam jak śpiewał: „*Hop dziś, dziś, a nie jutro, dziś wesolo, jutro smutno, tańcuj, tańcuj, abys mógł, żebyś nie połamał nóg*”. Był to młodzieniec spokojny, przyznam się szczerze, że jak na mnie, to aż za bardzo.

Na zabawy niekiedy przychodził także jego starszy brat Michał, najczęściej widywałam go jednak u Helenki i brata Leonarda. Uchodził za mężczyznę przystojnego, a nie pozwalał przy tym, aby ktoś nim poniewierał, może nawet trochę przesadzał. Bardzo dobrze znałam także ich stryjecznego brata Stefana Rocha, syna Grzegorza, również z Zastawia. Często go widywałam w okresie, kiedy wspólnie z moim bratem Stasiem, pracowali w Lesie Kohyleńskim oraz zimą 1936 r., kiedy zamieszkał tymczasowo u naszej Helenki. Przychodzili wtedy wspólnie na nasze zabawy, zapamiętałam go z tamtych dni jako dobrze ułożonego chłopca, wysokiego i mężnego, właściwie Stefcio Roch, to był prawdziwy drągał. Pozostałej młodzieży z Zastawia, już nie znałam, nie widywałam ich bowiem, u nas na zabawach. Pamiętam tylko tę Rosjankę, z którą ożenił się Tadeusz Roch, to była rzeczywiście ładna dziewczyna, a przy tym zgrabna, ale to było już podczas II wojny światowej. W wieku około 15 lat przeniosłam się do mojej cioci Józefy Krzaczkowskiej, która mieszkała we wsi Michałówka, gm. Chorochów, powiat Chorochów. Byłam tam przez lato, a na zimę wróciłam do domu. W tym czasie chodziłam na Mszę Świętą do Kościoła we wsi Łokacze, gdzie był czczony św. Antoni.

#### ZASTAWIE

Mniej więcej w tym samym czasie, po raz pierwszy pojechałam do Kohylna na Zastawie, tam gdzie mieszkała duża rodzina Rochów, tam skąd pochodziła moja bratowa Helenka Rusiecka. Gdy już się tam znalazłam, szybko poznałam, że żyją bardzo ubogo, ale trzeba przyznać, że mimo to jej przybrana mama Amelia, przyjęła nas bardzo gościnnie. Wizyta nie była długa i wkrótce wracaliśmy z powrotem na Teresin, ale w sercu byłam zadowolona, że mogłam trochę bliżej poznać rodzinę Helenki. Właściwie Tadeusza i Romka Rochów znałam słabo, bardziej zaprzyjaźniłam się z Zosią, która często przychodziła na Teresin. W trakcie naszych częstych spotkań u bratowej, dobrze ją poznałam i bardzo polubiłam. Do dziś pamiętam jak piękny i delikatny miała głos, a ponieważ lubiła przy tym śpiewać, często prosiłyśmy ją, aby nam coś miłego zanuciła. Nie była próżna, ani też zarozumiała, chętnie i z radością korzystała z tego talentu, którym obdarzyła ją łaska Boża. Jeśli jeszcze dodam, że miała delikatną urodę, a szczególnie piękne miała blond włosy, mocne, grube, a długie niemal do kostek. To w mojej pamięci, a naszej wyobraźni jawi się nam dziewczyna, niemal jak ze snu, świeża jak wiosenny kwiat z najpiękniejszego Ogrodu Pana. Młodziutka piękna i powabna jak sarenka, postępująca wiernie za swoim Pasterzem i spoczywająca bezpiecznie na jego łonie. Taka właśnie była nasza kochana Zosia, spokojna i życzliwa, zresztą trzeba to przyznać, tak jak większość Rochów na Zastawiu. Poza tym, choć byli to ludzie ubodzy, to jednak bardzo honorowi, dobrze wychowani i co najważniejsze rodzinni. Dla przykładu, nasza bratowa Helena bardzo lubiła swoich teściów, a naszych rodziców, szanowała ich i nigdy nie powiedziała im złego słowa. Dlatego nasza rodzina Rusieckich, wysoko ceniła sobie związenie się z rodziną Rochów i miała i ma naszą miłość i przyjaźń w największym poważaniu.

Przy czym, nie byli to ludzie doskonali i tam zdarzały się różne nieporozumienia, a nawet poważniejsze konflikty. Jedną z takich spraw, o której huczało w całej naszej okolicy, opowiadał mi osobiście mój brat Leonard, mówił tak: „*Na Zastawiu mieszka właściwie trzech rodzonych braci: Antoni, Grzegorz i Władysław Roch oraz ich żony i liczne potomstwo. Jeden z pięciu synów Antoniego, mianowicie Michał, to już dorosły i silny mężczyzna, wie dzie właśnie ostry spór ze swoim stryjem Grzegorzem o miedzę. Jego zdaniem stryj naruszał miedzę jego i Bolesława i w żaden sposób nie mogą się pogodzić, jeden zawzięty, a drugi jeszcze bardziej. Cała okolica już o tym mówi, a ich to nie wiele wzrusza, doszło nawet do tego, że sam prokurator przyjechał z Włodzimierza obejrzyć działkę. Ludzi się zeszło co nie miara, a i tak doszło do prawdziwej komedii, która o mało nie zakończyła się dla Rochów tragicznie. Otóż na słowo prokuratora Michał wbił pala w ziemię, tak jak powinno być, jednak Grzegorz chciał być mądrzejszy i kwestionował te decyzje, bez pardonu wrywając pala i tak w kółko Macieju! W końcu młodemu zabrakło*

*cierpliwości, a czerwony jak burak, nie wytrzymał już dłużej i dzielił Grzegorza siekierą w łeb. Na szczęście uderzenie nie było śmiertelne i wszystko zakończyło się na ranie ciętej i opuchliznie.”*

W Kohylnie na Zastawiu bywałam jeszcze wiele razy, pomagałam Helenie, która niekiedy jeździła do swojej mamusi i kiedy one pracowały, ja zajmowałam się wychowywaniem dzieci bratowej. Było tam cicho i spokojnie, podobnie gdy przejeżdżaliśmy przez ukraińską wieś Kohylno, ludzie byli łagodni i przyjaźnie usposobieni. Sytuacja ta nie uległa właściwie zmianie, aż do czasu kiedy zaczęły się napady na pojedynczych Polaków oraz mordy w całej okolicy. Niestety i tu Ukraińcy dokonali napadu i zdołali pomordować niektórych z rodziny Rochów, choć Bogu dziękować, większość z nich zdołała uciec wcześniej do miasta Włodzimierz Wołyński. O tym dowiedziałam się dopiero po naszej ucieczce do Włodzimierza, z tego co mi opowiadano, wśród zamordowanych znalazła się niestety, także moja kochana Zosieńka oraz jej mamusia Amelia.

W 1935 roku w trakcie trwania uroczystości odpustowej w naszej parafii, jak zwykle interesowały mnie stoiska kramarzy, można tam było bowiem znaleźć właściwie wszystko, czego tylko dusza zapagnie, od słodczy po najprzeróżniejsze świecidelka. I tym razem, gdy się tak rozglądałam na lewo i prawo, pośród ogromnego harmideru jaki robili ludzie, a przede wszystkim dzieci, rzeczywiście nie posiadające się dosłownie z radości. Pośród tego rozbawionego tłumu naszej rodzimej gawiedzi i płasającej młodzieży, usłyszałam delikatny, niemal anielski głos, a w swej wymowie, jakże przejmująco smutny. Zawsze byłam wrażliwa na piękno, po temu jak zahipnotyzowana poszłam w tym kierunku i po chwili ujrzałam młodzieńką, ładną dziewczynkę lat około 13. Stała tuż obok wiekowego dziadka, który sprawnie i wdzięcznie pogrywał na harmonii, a ona śpiewała, jej głos, melodia instrumentu oraz słowa piosenki, były tak przejmujące, że doprawdy trudno było powstrzymać, napływające do oczy łzy, takie ogarniało człowieka wzruszenie. Tym bardziej, że przybysze, co pewien czas informowali wszystkich przysłuchujących się, że teksty piosenek nie są wzięte z powietrza, ale oparte są o autentyczne wydarzenia, z życia wzięte. O ile dobrze pamiętam, nasi goście pochodzili również z Wołynia, a przyjechali do nas z niedalekiego Chorochowa.

Ponieważ słowa piosenek oraz ich wykonanie, bardzo przypadły mi do gustu, postanowiłam kupić rozprowadzany wtedy również śpiewnik. Teraz już łatwo się domyślić, kogo poprosiłam przede wszystkim o zaśpiewanie niektórych z tych melodii, które tak bardzo trafiały do serca i czyniły życie naprawdę piękniejszym. Oczywiście nasza kochana Zosia nie odmówiła, ale szybko moje upodobania i moje ulubione róże stały się również jej ogrodem, który często i chętnie, od tej pory nawiedzała, pielęgnując piękne kwiatuszki, najwdzięczniej jak tylko potrafiła. Tak postępując, jeszcze bardziej zjednała sobie moje i nasze serca, ileż razy wzruszała nas niekiedy do samych łez. Naszą wspólną, ulubioną piosenką była historia wielkiej miłości dwojga młodych ludzi, którzy wspólnie rzucili wyzwanie samej śmierci, jej słowa podaję niżej: „W tej smutnej piosence....”

#### **KOCHALIŚMY SPIEWAĆ NA WOŁYNIU**

Mój tatuś Jan również pięknie umiał śpiewać i co najważniejsze lubił śpiewać, czy to w domu, czy na polu podczas pracy, często śpiewał mocnym, zdrowym głosem i widać było gołym okiem, że sprawiało mu to autentyczną radość. Jeszcze dziś widzę go właśnie takim, tam na naszym pięknym, rodzinnym i tak polskim Wołyniu, jakże chciało się żyć i pracować kiedy człowiek widział kogoś, kto tak właśnie umiał korzystać z tego błogosławieństwa, jakie wkoło daruje mu hojnie Bóg. W swoim życiu wiele razy doświadczyłam tej oczywistej prawdy, że choć życie niesie ze sobą bezmiar różnych udręk i cierpień, często niemiłych niespodzianek, jednak jeszcze więcej jest w stanie człowiekowi zaoferować, trzeba tylko szeroko otworzyć oczy i dobrze rozejrzeć się dookoła, a zaraz znajdziesz to czego właśnie szukasz.

Pamiętam dobrze tamte piękne i rześkie poranki, kiedy pośród głębokiej, niesamowitej ciszy, przerywanej rajsłym śpiewem leśnych ptaszków, niemal codziennie płynął pobożny i tak ujmujący głos tatusia, śpiewającego Godzinki ku czci Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Siadywał sobie wtedy zwykle w swoim pokoiku sam i zatapiał się w gorącej modlitwie, niekiedy widząc, że ktoś nie bardzo wie, co ma właśnie z sobą zrobić i obja się z kąta w kąt, zaraz wołał na takiego marudera i trzeba było śpiewać razem z nim. A w okresie pokutnym nigdy prawie nie opuścił nabożeństwa Gorzkich Żali. Inną ulubioną formą jego modlitwy była Litania do NMP, w pięknym miesiącu maju, klękali z wspólnie mamusią przed figurą Matki Bożej i śpiewali.



## W SUTERENIE DALEKO ZA MIASTEM

- I W suterenie daleko za miastem, gdzie nędza i głód  
Nad kolebką siedziała niewiasta, nuciła piosenkę sprzed lat  
Aj luli, luli synu mój  
Da dobry Bóg co w niebie, że ja wychowam ciebie.*
- II Dziecię było wychudłe i blade, znak pokarmu mu było brak  
A mamcia nuciła piosenkę sprzed lat  
Śpij syneczku, śpij kochanie, mamcia pobiegnie po mleczko  
Da dobry Bóg co w niebie, że ja wychowam ciebie.*
- III Lat minęło 20 spokojnie, a syn wyrósł robotnik i zdrów  
A teraz pieśń krąży o wojnie, a w fabrykach nie spokój i ruch  
A mamcia nuciła piosenkę sprzed lat: śpij syneczku, śpij sokole  
A ja będę się modliła, bym cię nie utraciła.*
- IV Śpij syneczku, śpij sokole, jutro wyruszysz na pole, na krwawy bój  
A ja będę się modliła, bym cię nie utraciła  
Aj luli, luli synu mój  
Daleko za miastem szereg krzyży bieleje się w rząd*
- V Mamcia nuciła piosenkę sprzed lat, na grób ci krzyżyk dano  
Życie Tobie odebrano, aj luli, luli synu mój  
Na grób ci krzyżyk dano Virtuti Militarium  
Mamcia nuciła piosenkę sprzed lat, że już ciebie utraciła.*

## CZTERY MILE ZA WARSZAWĄ

- I Cztery mile za Warszawą, starsza siostra wyszła za mąż  
Wyszła za mąż za górniką, za starszego rozbójnika  
On po górach, on po lasach, a ja sama w tych palacach  
Wieczór pójdzie, rano przyjdzie, on mnie zawsze coś przyniesie.*
- II Przyniósł raz mi chustkę białą, całą krwią obwalaną  
Na żoneczko wypierz mnie ją, na słoneczko wysusz mi ją.  
Żona prała i płakała, brata chustkę poznawała.  
To jest chustka brata mego, wczoraj wieczór zabitego.*
- III Cicho żono nie rozgłaszaj, ciemno było ja nie zważał.  
Ciemno było i pies szczekał, ja nie zważał kto uciekał,  
Ciemno było i deszcz rosił, ja nie zważał kto mnie prosił.*

## WYCHOWANIE RELIGIJNE

W 1937 r. moje starsze koleżanki, w tym Kazimiera Topolanek, Helena Bojko, Stanisława Wawryniewicz i moja starsza, rodzona siostra Antonina, namówiły mnie, abym wstąpiła do katolickiego stowarzyszenia. Grupa ta działała i rozwijała się przy naszym Kościele pod czujnym okiem księdza Franciszka Jaworskiego. Pamiętam, że to była wiosna, wychodziłyśmy właśnie z Kościoła, z niedzielnej sumy i od razu skierowałyśmy się do salki katechetycznej, która była w budynku naprzeciw naszego Kościoła. Gdy się tam znalazłyśmy, ks. Franciszek już na nas czekał i od razu zaczął nam tłumaczyć podstawowe prawa i obowiązki oraz przywileje, wyrastające z tytułu przynależności do takiej Misji Katolickiej. To była organizacja tylko dla dziewcząt, było nas dużo i byłyśmy podzielone na małe grupy, po około 40 osób. Wszystkich razem, mogło być zrzeszonych nawet około 200 dziewcząt, a więc naprawdę wielka armia dusz.

Spotkania odbywały się raz w miesiącu, pamiętam że zawsze była to II niedziela miesiąca, spotykaliśmy się w swoich grupach. Spotkania połączonych grup, były przewidywane na specjalne uroczystości, niestety wojna 1939 r. uniemożliwiła nam takie spotkanie. Nasz pasterz ks. Franciszek bardzo dbał o nasze dobre, religijne wychowanie, tak pięknie i ciekawie mówił, że aż chciało się go słuchać. Szczególnie zabiegał o naszą godność jako młodych dziewcząt, zwracał uwagę na to, abyśmy się szanowały i nie pozwoliły się chłopczyskom poniewierać. Nasza szefowa przyjeżdżała do nas z Włodzimierza Wołyńskiego i pilnie uczyła nas jak prowadzić właściwie i organizować zajęcia w grupach. Poza tym uczyła nas także wielu prac domowych, w tym: jak pracować, gotować, piec ciasta, smaczne, że palce lizać. Szczególną uwagę zwracała na nasze wychowanie i kulturę osobistą. Była osobą wesołą, otwartą i dość przyjacielską dlatego można powiedzieć, że

była przez nas szczerze lubiana, ujęła nas także i tym, że niekiedy na szkolenia przyjeżdżała nawet na Teresin. Wszystko się skończyło z chwilą wybuchu II wojny światowej, nie znam też dalszych losów naszej instruktorki. Możliwe, że jak to często bywało, za swoją piękną służbę otrzymała przyspieszone wejście do Królestwa Niebieskiego, albo darmowe wczasy na dalekiej Syberii, w każdym razie ja i zapewne bardzo wiele z nas, jej wychowanek, jesteśmy jej winni pamięć i serdeczną wdzięczność.

#### KU WOJNIE

Nasz tatuś Jan jako Polak, patriota i długoletni sołtys Swojczowa, bardzo dobrze znał się z polskimi policjantami ze Swojczowa. Najczęściej rozmawiał z Raczyńskim, Kubiakiem i Gordycą, był jeszcze jeden polski policjant, nazywał się Wagner, ale tego tatuś zbyt sympatią nie darzył. Osoby te były mile widziane w naszym domu w Swojczowie, ale także później, gdy zamieszkaliśmy już na Teresinie. Dzięki tej znajomości tatuś był wszechstronnie poinformowany, co się dzieje w naszej okolicy i nie tylko. Dlatego gdy zbliżała się nieuchronnie wojna, latem 1939 r. doszły do niego dość niepokojące wieści. Otóż Ukraińcy w swoich środowiskach, potajemnie szykowali się do wyzwolenia Niepodległej i niezależnej Ukrainy. Przy czym coraz częściej słyszał także, że niektórzy Ukraińcy sympatyzują z komunistami, że w związku z tym organizują się, że po prostu szykują sobie Komunę. Wiem o tym dobrze, bowiem wiele razy słyszałam osobiście rozmowy ojca i najstarszego brata, dla przykładu takie: **„Leonarko Ty im nie wierz Ukraińcom. Ty słyszysz jak mówi Raczyński, jak złapał ich na tajnym zebraniu, gdzie naradzali się nad tajną organizacją, nad sposobem walki o wolną Ukrainę, nad organizacją u siebie komuny”**. Tatuś wierzył w te doniesienia i na Ukraińców miał już baczenie, nie miał już do nich zaufania, dlatego także przechowywał broń, a to na wypadek wyższej konieczności.

Wybuch II wojny światowej był dla mnie prawdziwym zaskoczeniem, chociaż mój brat Stanisław służył właśnie w polskiej armii, nic nie wiedziałam o tym, że zbliża się ta piekielna, jak się później okazało wojna. Nasz tatuś Jan na pewno wiedział, ale widać nie chciał nas martwić i właściwie na temat polityki z nami nie rozmawiał, jedynie z mamusią, coś sobie szeptali. Już pierwszego dnia wojny usłyszałam od taty, który wrócił z Włodzimierza, że nasze wojsko w najwyższym pogotowiu, bowiem Niemcy napadli na Gdańsk. Wspomniał także o awansie brata na kaprała, od tej pory często słuchał radia u Polaka Lisieckiego na Tartaku. Niekiedy i ja chodziłam tam z tatusiem, Lisiecki wystawiał radio na okno i wszyscy uważnie słuchali doniesień z frontu. W czynnej służbie wojskowej przebywał w tych dniach także Antoni Szczepański, Polak z Mikołajpola, jego formacja znajdowała się w Równem na Wołyniu. Gdy wkroczyli Sowieci rozbroili jego oddział i puścili go wolno, wrócił więc na Teresin, tu bowiem mieszkał jego rodzony brat Henryk Szczepański, wraz ze swoją rodziną. Od tej pory mieszkał u brata, aż ożenił się z moją siostrą Antoniną w styczniu 1940 r. Młodzi zamieszkali na razie w domu naszej siostry Leokadii Bortnowskiej, również mieszkającej na Teresinie.

W pierwszych tygodniach wojny wielu naszych zbiedzonych żołnierzy powracało całymi grupami do swoich domów, po przegranej Kampanii Wrześniowej. Niektórzy wracali sami i właśnie oni najczęściej, zaskakiwani byli, przez większe i mniejsze grupy uzbrojonych Ukraińców, którzy często pod przymusem, odbierali im broń oraz umundurowanie. Dalej Polacy wracali już jedynie w bieliźnie, niestety zdarzały się i takie przypadki, kiedy polscy żołnierze bronili się przed tą napaścią, opierali, czy zbyt głośno protestowali, przeciw tej przemocy i gwałtom. Takich nieszczęśników Ukraińcy potrafili mordować na miejscu, przy czym nawet nie usiłowano chować tych ciał, ale po prostu porzucano je w miejscu dokonanej zbrodni. Jest to przykład, do jakiego stopnia Ukraińcy, czuli się w tej haniebnej robocie, już w tym momencie bezkarni. A ponieważ nasz tatuś miał wielu znajomych we wsi Chobułtowa, to oni właśnie dali mu znać, co Ukraińcy wyprawiają na szosie Włodzimierz – Łuck. Zrazu tatuś i mama bardzo się przerazili, spodziewali się bowiem lada moment, powrotu mego brata z frontu, właśnie od tamtej strony. Postanowili upewnić się osobiście, czy to aby nie plotki, gdy już byli na tej drodze, tatuś zszedł z wozu i zaczął patrzeć po rowach. I rzeczywiście natrafił tam na trupy młodych mężczyzn, nawet nie przykryte ziemią. Okazało się, że to co mówił Polak Marian Mierzejewski na swoim podwórzu, to wszystko niemal było bolesną prawdą, a mówił tak: **„Młode chłopaki ukraińskie rozbrajają na drodze Łuckiej polskich żołnierzy, którzy wracają do swoich domów, a co niektórych nawet mordują, porzucając ciała w rowie”**. Kiedy jednak nie znaleźli pośród pobitych swojego syna, pojechali przy

okazji odwiedzić moja babcię Petronelę Kalinowską, która liczyła już sobie 96 rok i mieszkała w ukraińskiej wsi Chmielówka.

W tym samym czasie nasz Stasio doszedł ze swoim oddziałem, aż pod Warszawę, gdzie w Puszczy Kampinowskiej, zostali całkowicie okrażeni przez wojska niemieckie. Bronili się tam rozpaczliwie przez 16 dni, ale gdy dalsza walka, stawała się coraz bardziej beznadziejna, musieli kapitulować i tak trafił do niemieckiej niewoli. Od tej pory przez całe 6 lat, aż do końca wojny, wraz z innymi Polakami, przebywał na wyspie Wolin. Dopiero w maju 1945 r. dotarli do nich pierwsze oddziały sowieckie, wyzwalając cały obóz. Po powrocie do kraju był już bardzo słaby i chorowity, w rezultacie częściej przebywał w szpitalu, niż w domu, a niedługo po wojnie odszedł na wieczną wartę. Został pochowany na cmentarzu w Złotorzy na Dolnym Śląsku.

O tym wszystkim nie wiedzieli jednak na razie moi rodzice i sądzili że już nie żyje, właściwie nie wiele się pomylili. Bardzo oboje rozpaczali, teraz mogliśmy się przekonać jak bardzo go kochali, jak bardzo kochają nas wszystkich. Mama wciąż popłakiwała i nie mogąc utulić się w żalu, zwierzała się pewnej Polce: „*Wy to swoich przynajmniej pochowali, a mojego syna to wrony rozniosły!*” Tatuś był mocniejszy i nie tracił nadziei, udał się nawet do niemieckiej ambasady, gdzie za 5 złotych dolarów amerykańskich, urzędnik niemiecki odnalazł mu syna oraz podał jego adres pobytu w niemieckiej niewoli. Od tej pory stale utrzymywaliśmy z bratem kontakty listowne, w miarę możliwości wysyłaliśmy także paczki żywnościowe. Nie było tego dużo, ponieważ przepis niemiecki mówił, że można wysłać tylko 25 deko, dlatego wysyłaliśmy zwykle suchy tytoń, który był tam poszukiwany. Stasio mógł sobie niekiedy coś za niego wymienić, a ponieważ zwykle posyłałmy po kilka paczek, zawsze to było już coś.

Pamiętam, że już 17 września 1939 r. wiedziałam o sowieckim nożu w plecy. Uderzyli na naszą ojczyznę z wielką siłą, wszem i wobec głosząc, że niosą nam tak upragnioną wolność od burżujskiej Polszy. Żołnierza sowieckiego po raz pierwszy zobaczyłam 21 września, właśnie goniłam gęsi na wyrąb, do Lasu Kohyleńskiego, nagle moim oczom ukazała się cała kolumna Sowietów. Uśmiechali się do mnie i pozdrawiali mnie serdecznie, a ja naprawdę stałam jak zamurowana, nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy może płakać, tak „ładnie się prezentowali”. Jeden wielki bród i łachmany, o mało nie wzięła mnie do nich odraza. Nie słyszałam, a tym bardziej nie widziałam, aby w naszej okolicy Ukraińcy budowali gdzieś dla nich bramę powitalną lub żeby gdzieś witali chlebem i solą. Nie zauważyłam też jakiegoś szczególnego poruszenia, dla przykładu wywieszania flag ukraińskich.

### **Z MĘŻCZYZNĄ MOJEGO ŻYCIA**

W pierwszych miesiącach nic się właściwie na Teresinie nie zmieniło, tym bardziej na Tartaku Kohyleńskim, gdzie zamieszkałam wraz z mężem od listopada 1940 r. Mój mąż Franciszek został palaczem na Tartaku, a ja bawiłam nasze pierwsze dziecko. Otóż od stycznia 1940 r. w moim życiu prywatnym, zaszły bardzo poważne zmiany, mianowicie wyszłam za mąż za Polaka Franciszka Topolanek. Franek mieszkał na naszej wsi, ale znaleźmy się dopiero od roku czasu, nasz ślub odbył się w Kościele parafialnym w Swojczowie, a błogosławieństwa udzielił nam ks. Franciszek. Pamiętam, że nasz ślub wypadł tak, jak to było wtedy w zwyczaju: w niedzielę na nieszpory. To była piękna i niezapomniana uroczystość, bowiem razem z nami ślub brała druga moja siostra Antonina, która wychodziła za Antoniego Szczepańskiego. Gdy tylko nasza uroczystość dobiegła końca, zaraz po nas podeszło, aż pięć kolejnych par i również po sakrament małżeństwa. Pamiętam, że w tamtych kilku dosłownie dniach, było aż 40 zapowiedzi, dlatego tylko ich przeczytanie ogłowi wiernych, trwało prawie godzinę. Dlaczego ludzie tak się gwałtownie żenili?! Otóż w naszych stronach zapanowała psychoza, zresztą całkiem uzasadniona, że po przyjsciu Czerwonej Armii, lada dzień zabronią nam zawierać małżeństwa przed Panem Jezusem i w Kościele.

Tego dnia nasza świątynia wypełniła się naszymi starymi i nowymi przyjaciółmi, wiele naszych koleżanek i kolegów przybyło, aby razem z nami modlić się o błogosławieństwo na naszej nowej, tak przecież odpowiedzialnej i wcale niełatwej drodze życia. Potem jak zawsze były radosne i niekończące się życzenia, wszyscy nas ściskali, a mi szczególnie do gustu przypadły gratulacje, składane przez tak wielu dobrych znajomych. I pomimo, że zima była ciężka, mróz duży i tężał z każdą godziną, my byliśmy radośni i szczęśliwi, jak rzadko kiedy dotąd. Nie lada gratką był powrót

do domu, sanie mknęły piorunem, bowiem wcześniej „napojone spirytusem konie”, teraz na swój sposób brykały jak szalone, tej sanny nie zapomnę do końca mojego życia. Najpierw gościliśmy w domach naszych mężów, a potem wszyscy goście radośnie zjechali do nas na Teresin. Mieliśmy udaną orkiestrę, do tańca przygrywali nam: na harmoni straszy z braci Sidorowiczów, Juliusz Kisielewicz na klarncie, na skrzypcach zgrabnie rzepolił Feliksiak, a na bębnach chłopiec, którego dziś już nie mogę spamiętać. Wesele trwało w najlepsze, goście dobrze się bawili i suto zakrapiali, nic więc dziwnego, że impreza przeciągnęła się, aż do wtorku, byliśmy naprawdę szczęśliwi. Ale tak jak wszystko ma swój początek, tak i kiedyś musi nastąpić koniec.

Na razie zamieszkaliśmy w domu mojego tatusia na Teresinie, ale już w listopadzie 1940 r. przenieśliśmy się na Tartak Kohyleński, właśnie na ten czas przypadły urodziny mojej córeczki Marianny. Pamiętam, że na Tartaku obok pałacu stało jeszcze pięć domków, mieszkali tam tylko od czasu do czasu, głównie Żydzi i ich goście, ale nie tylko. Stosunkowo blisko tamtych, jakieś tylko 50 m., ale już za lasem, stały pierwsze domy wsi Kohylno, w tym Polaka Franciszka Wolanina. Franek był drugim palaczem w Tartaku i pracował razem z moim mężem. Za nim, znów tylko około 50 m., stał dom Ukrainca Hawryłko Krzywoszyja, potem była dość znaczna przerwa, co najmniej 500 m. i zaczynała się właściwa wieś Kohylno. Zaraz na początku mieszkał sołtys wsi, było to duże osiedle ukraińskie, gęsto zabudowane z piękną cerkiewką, otoczoną drzewami, na wzgórku i w samym środku wsi.

### SOWIECKI DOBROBYT

Od grudnia 1940 r. w dębowym Lesie Kohyleńskim, Sowietci urządzili sobie wojskowe koszary i w krótkim czasie sprowadzili tam bardzo dużo swojego wojska, pobudowali nawet domy, głównie dla oficerów oraz składy broni i amunicji. Prości żołnierze, pomimo ostrej zimy, mieszkali w barakach i pod pałatkami. Część kadry dowódczej zakwaterowano w polskich domach na Teresinie, również w naszym mieszkało dwóch Lejtnantów: jeden z nich nazywał się Czekalenko i był u nas ze swoją żoną Frosyną. Poza tym nic właściwie nie uległo zmianie, Ukraińcy nadal siedzieli spokojnie i nie słyszałam, aby gdzieś urządzali jakieś napady na Polaków. Było jednak to coś, co bolało i jątrzyło, obnażało przy tym ukraińskie intencje oraz serca. Tym czymś były donosy na Polaków do sowieckiej władzy. Ta z kolei bez zmużenia oka, posyłała całe polskie rodziny na niemal pewną śmierć, czyli do najsłynniejszych sowieckich „KURORTÓW” – NA BEZKRESNĄ SYBERIĘ. Z naszego Teresina nikogo na razie nie wywieźli, choć rodzice i wiele innych znaczniejszych rodzin, w tym: Wysoccy, Świstowscy i Szwydy, stale szykowali się i byli w pogotowiu, na wypadek takiej nagłej wizyty żołnierzy NKWD w naszych domach. Niemniej jednak z innych polskich osiedli, rzeczywiście wciąż docierały do nas nowe, niepokojące informacje o trwających wywózkach. Póki co Sowietci, którzy zamieszkali w naszym domu, byli dla nas wyjątkowo grzeczni i porządni, tak że nawet zdążyliśmy tych oficerów polubić. Mój ojciec miał o nich też, jak najlepsze zdanie, Stalina obarczając winą za złą reputację Związku Radzieckiego, w oczach ludzi i świata.

W tym właśnie czasie, nasz dom coraz częściej nawiedzał także Ukrainiec z Teresina o nazwisku Środa, który od pewnego czasu był sołtysiem. Już wtedy podczas rozmów prowadzonych z tatusiem, mawiał niekiedy tak: „*Będzie nasza Ukraina, my musimy mieć swoją wolną Ukrainę, to nasza ziemia, aż do Żytomira!*” Gdy niekiedy osobiście słuchałam jego wynurzeń, to już wtedy miałam wrażenie, że on nie mówi, ot tak sobie zwyczajnie, ale że ma to odcień pogroźek ukraińskich. Póki co jednak, na Polaków złego słowa na razie nie powiedział. Grubo wcześniej, niekiedy przychodził do nas także jego syn Wania, przyjaźnił się bowiem dość mocno z moim bratem Staszkiem. Zmarł jeszcze przed wojną w 1939 r. na gruźlicę, a Środą została się już tylko córka Nadia, która żyje może na Ukrainie, gdzieś w okolicy dawnej polskiej kolonii Kamelówka, do dziś jeszcze.

Nowa władza, nowe porządki, dookoła nas Sowietci wszędzie porobili swoje Kolchozy, tylko na naszym Teresinie i w Kohylnie, chłopcy z tego dobrodziejstwa skorzystać nie chcieli, podobnie odmówiła Wólka Swojczowska. Kolchozy były już w koloniach: Mikołajpol, Kamelówka, aż do ukraińskiej wsi Poczekajka. Specjalnie z tego tytułu Sowietci urządzali zebrania całej ludności wsi, na których gorąco zachwalali swój wynalazek i namawiali wszystkich do robienia wspólnego Kolchozu. Nasi ludzie byli dobrze uposażeni i nie byli w ciemni bici, dlatego

wszelkie tego typu starania, rozbijały się o twarde mur oporu. W tym momencie los mieszkańców tych wsi, był w przyszłości przesądzony i gdyby nie agresja hitlerowska w czerwcu 1941 r., niechybnie skosztowalibyśmy zupy z kory syberyjskiej Tajgi. O tym, że takie były plany wiedział Ukrainiec Hryć, mieszkający na samym końcu Teresina, gdzie nasza kolonia łączyła się już z Wólką Swojczowską.

Tak więc chociaż nam się udało, to jednak i w naszej dalszej rodzinie nie obeszło się bez pewnych strat. W lutym 1941 r. Sowieci wywieźli bowiem na Syberię mojego stryja Stanisława Rusieckiego i całą jego rodzinę, w tym: żonę, miała na imię chyba Stanisława, ich dzieci po pierwszym ojcu: Władysławę i Antoninę Uleryk oraz dwoje malutkich dzieci: Kazimierę Rusiecką lat około 5 i drugie dziecko lat około 2. Na szczęście z tej rodziny wszyscy zdołali powrócić do Polski, przy czym sam stryj Stanisław przypłacił to jednak życiem, bowiem zmarł zaraz po wojnie na gruźlicę. Do dziś żyją w Hrubieszowie ich dzieci. Słyszałam także, że na Syberię pojechała również rodzina Barańskich ze wsi Kamelówka oraz Skosolasów i Dyleckich ze Swojczowa, w tym Bolesław lat około 35 i jego matka lat około 58. Co chodzi o Wacława Czabowskiego wiem, że znalazł pistolet i widocznie, coś o tym w domu napomknął, dziewczyny się dowiedziały i zapewne, komuś nie opacznie o tym rzekły słówko. Tatuś Jan opowiadał mi w domu, że rezultat był błyskawiczny, bowiem już parę dni później, ruskie go zaarrestowali, dalszych jego losów już nie znam.

### **CZERWIEC 1941 ROK**

Pamiętam jak pierwszego dnia wojny szłam właśnie po wodę do naszej studni, gdy zauważyłam ciemne chmury i z początku nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić. A to były takie wielkie tumany kurzu, wzbudzone przez sowieckie tabory, które gwałtem uciekały na wschód. Zaraz jeszcze na podwórku powiedziałam z radością do Lisieckiej: „Sowieci uciekają!” A ona zaraz roztropnie mnie upomniała: „Cicho nie mów, żeby cię któryś na miejscu nie zastrzelił!” Więc usiadłyśmy sobie i tylko patrzyłyśmy na ten exodus z zachodu na wschód. Tymczasem także nasz prociedatiel o nazwisku Dudka oraz jego żona, właśnie naprędce pakowali swoje rzeczy na wóz, wszystko co się dało wywieść, chociaż tu przyszli ledwie w koszuli. Ponieważ byli mi winni dużo pieniędzy za wykonaną dla nich pracę, zostawili mi piękny wózek dziecienny. Jako furman pojechał z nimi także chłopiec Tadeusz Wawrynowicz, który powożąc zajechał z nimi aż do Kurska. Tam wcielono go do armii sowieckiej do czynnej służby wojskowej. Właśnie wtedy, nieoczekiwanie podczas wojskowego apelu, spotkał Franciszka Topolanek, od tej pory zawsze trzymali się już razem.

Mego męża Sowieci powołali bowiem wcześniej do swojej armii, a ponieważ bardzo chciałam, aby mój mąż powrócił do mnie z wojska, rozpoczęłam całą batalię o jego powrót. W tym celu ujawniłam nawet, że mąż przynależał wcześniej do Obrony Narodowej, była to przedwojenna organizacja młodzieżowa, coś w rodzaju wojska dla młodych ochotników. Niestety swoją gorliwością mu nie pomogłam, ale jeszcze zaszkodziłam, bowiem przeniesiono go kompani roboczej, wystawionej na największe trudy. Tam pewnego dnia, tak poważnie odmroził sobie nogi, że gdy potem zdejmowali mu buty, odłamali mu dwa palce u jednej nogi, a u drugiej wszystkie, wraz z paznokciami. Trafił do szpitala, bardzo cierpiał, ból wprost niemiłosierny. Chciano mu odjąć obie nogi, aż poza kostki bowiem nie chciały się goić, ale wytrwale się sprzeciwiał. Wolał cierpieć niż być do końca życia kaleką, doszło nawet do tego, że jednego razu, lekarz stracił do niego zupełnie cierpliwość i zaczął wprost krzyczeć do niego: „*Topolanek, nogi się nie goją, nic z tego nie będzie, trzeba odjąć! Jak nie, więcej na wizytę do ciebie nie przyjdę!*” Mój mąż przeżywał straszne chwile, ale nóg odjąć sobie nie dał. Bóg mu pobłogosławił i rany się zagoiły, ale leżał w szpitalu blisko pół roku. W końcu jednak dopiął swego i stanął o własnych nogach, choć do końca życia będzie z ich powodu odczuwał ból i cierpienie, nasilające się szczególnie zimą i latem.

Tymczasem u nas na Tartaku już drugiego dnia, pojawili się pierwsi żołnierze niemieccy na motorach. Jakie to było piękne wojsko, młode, postawne i widać jak silne, a przy tym jak czysto i ładnie się prezentowali. Zatrzymali się u nas na Tartaku i pili wodę z naszej studni, myli się i chwilę odpoczywali, potem pojechali dalej. Zdumiało mnie, że mają takie dobre i dokładne mapy naszej okolicy, wsi i kolonii. Zauważyłam także, że są nastawieni dość przyjaźnie, choć słyszałam, że w innych miejscowościach potrafili nawet dziesiątkować ludność cywilną. Dla przykładu we wsi

Barbarówka, gdzie pochwycili wiele osób, a odliczając zabili pięć, w tym Polaka Limińskiego z koloni Wandywola.

Osobiście nie widziałam, aby Ukraińcy witali wkraczających Niemców kwiatami, chlebem i solą, ale słyszałam o takich rzeczach od mojego tatusia Jana, jeszcze na Teresinie: „**Ukraińcy witali wkraczających Niemców! Koło Kohylna zbudowali dla nich bramę powitalną z kwiatami, a bo to taki już Naród: Ruskich witali, Niemców witają i jakby inne wojsko przyszło, też by witali, a bo to taki ciemny Naród!**” Słyszałam to od niego osobiście, ale skąd on się o tym dowiedział, tego już nie wiem. Poza tym Ukraińcy wciąż zachowywali się dość spokojnie i nie było słyhać o jakichkolwiek wystąpieniach antypolskich. Po paru miesiącach Niemcy zorganizowali w naszej kolonii bardzo ważne spotkanie, odbyło się w szkole. Niemcy namawiali gorąco Polaków, aby wstępować do policji polskiej w służbie niemieckiej. Jak relacjonował nasz tatuś, nikt z Polaków się nie zgłosił, wtedy Niemcy zorganizowali jeszcze jedno spotkanie, tym razem dla Ukraińców i ci chętnie wyrazili zgodę na współpracę. Nasz tatuś był i na tym spotkaniu, opowiadał później tak: „*Byłem na tym spotkaniu, które Niemcy zorganizowali w szkole, dla Ukraińców i Polaków, znowu gorąco namawiali wszystkich, aby wstępować do policji. Nasi ponownie konsekwentnie odmówili. Ale Ukraińcy bez namysłu poszli na tę współpracę. Sołtys Środa miał już całą gotową listę ukraińskich ochotników, którą zaraz wręczył Niemcom, w tym momencie przeklął i powiedział: **To hactwo chwyciło za broń! Woleliby my być pod niemieckim batem, niż pod ukraińskim, bo Niemcy to naród szlachetny, a Ruskie to ciemnota!***”. Tatuś miał złe przeczucia na przyszłość i spodziewał się, że z tego nie wyniknie nic dobrego.

Warto w tym momencie przytoczyć pewny, ważny epizod z życia mojego taty. Otóż gdy wiele lat wcześniej płynął do Ameryki, aby zarobić trochę pieniążków na życie, przez trzy miesiące przymusowo przebywał w Niemczech. Tam bowiem nieoczekiwanie zdradził go przyjaciel ze wsi Sielec na Wołyniu, napadł zbrojnie i uciekł z jego pieniędzmi, szczęście tylko, że nie zabił. Tatuś trzy miesiące ciężko pracował u Niemca, aby ponownie zdobyć pieniądze na bilet do upragnionej Ameryki. Ten zdrajca i złodziej, który był Polakiem i nazywał się Wieczorek, wrócił tymczasem na Wołyń i gdy spotkał się z naszą mamą we Włodzimierzu, gorąco zapewniał, że naszego tatusia wsadził osobiście na statek do Ameryki. Nasza mama będąc mu niezwykle wdzięczna z radością zafundowała mu obiad w restauracji miejskiej, nota bene za ostatnie pieniądze. Tego dnia bez grosza wróciła do domu, a ten łobuz z pełnym brzuchem, tam gdzie go wiatry poniosły. Odrażającą prawdę poznaliśmy dopiero rok później, gdy przyszedł pierwszy list z Ameryki. Owszem, tatuś po powrocie z Ameryki szukał drania Wieczorka, dałby mu zapewne dobrze w skórę, ale wszelki ślad po nim zaginął i choć nikt już właściwie tego nie pamięta, hańba podłych czynów tego człowieka będzie teraz trwała wiecznie.

### ZAGŁADA ŻYDÓW

Na początku policja ukraińska zachowywała się dość spokojnie, a właściwe piekło na Wołyniu rozpoczęło się w listopadzie 1942 r., kiedy Niemcy rozpoczęli ostateczną rozprawę z Żydami. Pamiętam jak jednego dnia wybrałam się do miasta Włodzimierz Wołyński, aby wysłać kolejne paczki dla naszego biednego Stasia. Właśnie wtedy spotkała mnie Polka Antonina Zubrzycka, która mieszkała na ulicy Piaskowej, zaraz za tartakiem i z przejęciem powiedziała do mnie: „*Chodź prędko bo stało się nieszczęście!*” Wyszliśmy z poczty, a tam było niedaleko getto żydowskie. Zobaczyłam jak Niemcy ładują Żydów z getta na ciężarówki, widok był wprost okropny: wielu dorosłych ludzi krzyczało, a niewinne dzieci piszczwały wniebogłosy, jeszcze inni próbowali uciekać. Nad wszystkim jednak czuwali brutalni Niemcy, którzy co chwilę okładali kogoś kolbami, naganiając ludzi jak bydło z tej i owej strony. Naprawdę to trudno opisać, co czułam w tamtym momencie, byłam przerażona i czułam głęboką odrazę do tego, co się działo, żal mi było Żydów, tak bestialsko poniżanych i eksterminowanych. Takich aktów nienawiści, żaden normalnie rozwinięty człowiek popierać w swoim sumieniu nie mógł, to było chore i po prostu upiorne.

Nie tak nauczał Chrystus miłości i miłosierdzia nasze narody, przecież już blisko tysiąc lat, jego nauka jest obecna w tej części Europy, a wciąż dochodzi do tak nieludzkich aktów barbarzyństwa! Tak sobie stałam i myślałam, a oni szli na rzeź płacząc i wołając zratowania, tylko rabin żydowski zachowywał się dość spokojnie i jako pierwszy wszedł na ciężarówkę. Ciotka upominała mnie, abym w tamtą stronę nie patrzyła, już w domu powiedziała: „**Niemcy wiozą ich**

*wszystkich do Piątdni i tam ich wszystkich chyba pomordują. Moja córka Stefania Warzocha szła tamtędy niedawno i widziała wielkie doły, pokopane pewnie z myślą o nich*". Wywózka trwała przez całą noc, tak że wcale nie mogłam zasnąć. Co chwilę słyszałam jak ktoś uciekał Niemcom, tuż pod moim oknem.

Następnego dnia o świcie, wracałam drogą do domu na Teresin i zaraz przy torach, na ulicy Lotniczej zatrzymało mnie dwóch Ukraińców z policji. Mieli karabiny i żółte opaski, a na nich kółko czarne, a w tym kółku: CZARNA TRUPIA CZASZKA, taka jaką nosili hitlerowcy, szynele – długie płaszcze były koloru szarego. Zaczęli mnie ostro wypytywać: „*Kto ty jesteś ? Po co byłaś w mieście ? Gdzie teraz idziesz ?*” Odpowiadałam spokojnie, ale jeden mi nie wierzył, uparł się i mówi: „*Ty Żydówka, nie upieraj się! Do getta trzeba ją wysłać.*” Ale na szczęście drugi zapytał mnie o moje dokumenty, a właściwie to uratowała mnie paczka dla brata, gdzie był niemiecki adres i polscy nadawcy, dlatego po namyśle puścili mnie wolno dalej. Inni nie mieli tyle szczęścia, dla przykładu moja cioteczna siostra Stanisława Nowaczyńska, ze wsi polskiej Władysławówka lat około 24. Była w mieście w tym samym czasie co ja, jednak przypadkowo zagnana do getta, zginęła razem z innymi, tak przynajmniej słyszałam od jej rodzonych siostr: Heleny, Sabiny i Janiny.

Podobny los spotkał także naszych Żydów, którzy mieszkali na Tartaku i w okolicy, ale nie wszystkich od razu tak samo. Już na samym początku, wszyscy Żydzi otrzymali polecenie zgolenia brody. Razem było na Tartaku 6 rodzin żydowskich, w tym: Kaca, Berka, Markuzyna i Zurka. Około grudnia 1942 r. wszyscy razem, zostali pieszo pognani do getta we Włodzimierzu. Dwóch Żydów: Herszko i Bjumen oraz ich rodziny, Niemcy zostawili sobie niejako na deser, bowiem jeszcze ich potrzebowali do prac różnych przy gospodarstwie. W końcu jednak dwóch Niemców zabrano obu za las i chyba mieli zamiar ich tam rozstrzelać. Wszystko widziałam osobiście, bowiem właśnie w pobliżu pasłam krowę, Żydzi szli potulnie przodem, bardzo zastraszeni, Niemcy za nimi, krzyząc przy tym strasznie. Nagle nieszczęśnicy rzucili się gwałtownie do ucieczki, ale Niemcy coś między sobą szwargocąc, nie zamierzali ich strzelać. Widać było, że pozwolili im uciec, albo po prostu mieli ochotę sobie z nich zakpić, śmiejąc się przy tym do woli. Po tym zdarzeniu, jak tylko wróciłam na Tartak, wstąpiłam do żony Bjumena i pocieszałam ją, że mąż żyje. I rzeczywiście obaj Żydzi wrócili do swoich domów i zbierali zboże z pól. Ich los był jednak właściwie przesądzony i gdy tylko zakończyli prace żniwne zostali odprowadzeni do getta. Większość Żydów zginęła w Piątdniach i tam też spoczęła na wieczność, cześć ofiar jednak Niemcy zakopywali przy wojskowych koszarach, na łąkach, w takiej dolinie, od strony wsi Stefanówka.

### **ŻYWA POCHODNIA**

Pamiętam jeszcze inne oblicze piekła, ale to jest naprawdę straszne! Jednego listopadowego dnia 1943 r., może to był już grudzień, wybrałam się z tatusiem Janem na przedmieścia w stronę Cegielni. W mieście panował bowiem głód i trzeba było zatroszczyć się o żywność dla nas i dzieci. Był tam taki laszek od strony szosy Łuckiej, właśnie tam Niemcy przywieźli jedną ciężarówkę wyładowaną ludźmi. Widok był bardzo przykry, bowiem byli bardzo stłoczeni i zupełnie nadzy. Niemcy wysypali wszystkich z samochodu jak kamienie, otoczyli ścisłym kordonem i polali benzyną. Ludzie Ci tak jak stali i tulili się przerażeni do siebie, tak zaczęli się gwałtownie palić. Krzyk, wrzask i pisk, który teraz jako żywa ofiara, wznosił się do Nieba, było to wprost nie do opisanego, prawie nie mogłam tego barbarzyństwa znieść. Zarazem rzecz dziwna, ale nie mogłam od tej żywej pochodni oderwać swoich oczu, czułam że na moich oczach rozgrywa się, jakiś niezwykle ważny dramat człowieczeństwa. Nie byłam w stanie pojąć, jak człowiek jest w stanie zgotować drugiemu człowiekowi taką łaźnię z ognia, a potem stać spokojnie z karabinem i pilnować, aby nikt nie uciekł. Ile musi wylać się zła na duszę, aby ona doszła do takiego stanu upodlenia, aby rozbudziła w sobie aż tak niewyobrażalną potrzebę znęcania się nad innymi.

Po dziś ofiara tamtych ludzi, żywo obecna jest w moim sercu i wiem, że pozostanie tak do końca mojego życia. Są bowiem w życiu człowieka takie rzeczy, które z pamięci wymazać się nie da, tak głęboko wryły się w jego życie i tożsamość, tamten obraz bez wątplenia jest jedną z nich. Gdy ja tak patrzyłam, mój tatuś ciągle krzyczał do mnie: „*Nie patrz w tamtą stronę!*”, ale ja stałam jak zahipnotyzowana cierpieniem tych ludzi i wciąż nie mogłam oderwać oczu od tej tragedii. W końcu dotarło do mnie, że oni już nie żyją, a ich dusze opuściły już ten padół pełen łez, nie po raz

pierwszy mocno przygnębieni na duchu, wracaliśmy do miasta. Boże nasz ile jeszcze musi spłynąć takich ciężkich łez na naszą i tak już zboląłą ziemię, aby zaczęła rodzić owoce miłosierne, a nie pełne pychy i nienawiści, zdolnych pociągnąć człowieka aż do całkowitego zatracenia.

Od 1942 r. nasiliły się łapanki na młodych ludzi, których wysyłano na przymusowe roboty do Niemiec. I na Teresin przybył Niemiec oraz dwóch Ukraińców i brali młodzież z polskich domów. Na szczęście wcześniej uprzedził nas Polak Władysław Bortnowski, narzeczony naszej siostry. Nam się tym razem udało, ale wielu innych, w tym: Bogdan Kasperski, Maria Gronowicz, Apolinary Umański, Tadeusz Krochmal, Gustaf Buczkowski, Zdzisław Wawrynowicz i Zdzisław Kukułka, wszyscy pojechali do Raichu. Poza tym bardzo uciążliwe były powszechnie występujące rewizje w polskich chatach, Ukraińcy i Niemcy wspólnie szukali ukrytej broni. Wiele razy byli też na Teresinie, Niemiec zwykle obserwował, a policja ukraińska buszowała sobie do woli, potrafili przewrócić wszystko do góry nogami. Także i nas ta przyjemność nie ominęła trzy razy. Jedna z takich wizyt wypadła na jesień 1942 r., jak zwykle zaraz po przyjeździe zaczęli buszować, w końcu dali sobie spokój i gdy wszyscy już wyszli, jeden młody Ukrainiec został. Wywalając wszystko z szafy znalazł butel samogony i od razu w krzyk: „*A to szo ?*”, darł się przy tym bardzo, a nasz tatuś do niego jeszcze głośniejsz: „*Szo tobie slipy powilazły ? Nie baczysz szo to je, chocysz napijsa, bo jak to ja zaraz tobi dam, to budisz tak wtekaty, szo za taboju budy kurilose!*” A Ukrainiec wskazując na broń pyta się: „*A to szo ?*”, nasz tatuś wcale i tym nie wzruszony znowu ostro do niego: „*Jak ja to tobie dam, to skazesz szo mene tam mulaje!*” Na te słowa młodzik przestraszył się, a widząc twardą postawę, odwrócił się na pięcie i opuścił nasz dom.

#### WIOSNA 1943 ROK

Do Świąt Zmartwychwstania Pańskiego 1943 r. na naszej kolonii Teresin wciąż jeszcze było spokojnie. Ukraińscy policjanci codziennie chodzili przez naszą kolonię, ale na razie nikogo nie tykali, bacznie tylko obserwowali, co się dzieje, mieli przy sobie broń, a na rękach opaski. Ani razu nie słyszałam, aby Ukraińcy w naszej wsi, czy nawet w okolicy, śpiewali wrogie piosenki na Polaków. Do świąt właściwie nie przypominam sobie, żadnej poważniejszej napaści Ukraińców na Polaków. Jeszcze przed świętami, tatuś zabrał mnie z Tartaku do domu na Teresin, tak że na święta byłam już z rodzicami. I choć to najważniejsze i najpiękniejsze święta w roku, tym razem było już niespokojnie, a strach przed Ukraińcami rósł z dnia na dzień i to w zastraszającym tempie. Coraz częstszym tematem wspólnych rozmów stawały się bowiem doniesienia, że w naszej okolicy coraz częściej giną pojedyncze osoby, najczęściej Polacy. Ludzie opowiadali już sobie najprzeróżniejsze historie, a każda z nich dawała do myślenia.

Dlatego podczas tegorocznych świąt do Kościoła, na święcenie pokarmów, wybrały się tylko dzieci, nas tatuś nie chciał puścić, bowiem obawiał się wprost o nasze życie. Pamiętam, że ja, brat Leonard, jego żona Helena oraz siostra Michalinka, pojechałyśmy furmanką do Swojczowa na Rezurekcję. Zapowiadał się ładny słoneczny dzień i nic nie wskazywało na to, aby coś miało się wydarzyć. Na początku jak zwykle była okazała procesja dookoła naszej świątyni, którą obeszliśmy ze śpiewem trzy razy. W samym Kościele było pełno odświętnie ubranych ludzi i jak zwykle piękne nabożeństwo, nie zauważyłam, aby ktoś chodził po Kościele, podczas tej uroczystości, a stałam przy bocznym Ołtarzu. Spokojnie więc wróciliśmy na Teresin i świętowaliśmy w rodzinnym gronie, ale właściwie każdy czuł się w środku jak zatruty. Rozważaliśmy wszyscy w swoich sercach ostatnie wiadomości i plotki i tak sobie myśleliśmy: „**Boże czy to może być prawda? Co to się dzieje na naszej, tak spokojnej dotąd ziemi i czym to się może jeszcze zakończyć?**” Te pytania nie dawały nam spokoju, ale jak bumerang nieustannie powracały, niekiedy nawet ze zdwojoną siłą. Popularnym powiedzeniem wśród tutejszej ludności stawało się, już bardzo jednoznaczne hasło: „*Paska na stół, a głowa pod stół.*” Trudno więc dziwić się, że pomimo tak niezwykłych dni, ludzie mieli raczej smutne nastroje. Póki co, nasze wioski jeszcze stały, a na horyzoncie jeszcze nie było krwawych łun ognia. W czerwcu 1943 r. gruchnęła wieść, że Niemcy spalili wieś Beheta, powiadano, że to odwet za wysadzenie w powietrze dwóch pociągów niemieckich, jeden w Chobułtowej, a drugi w Owadnie. Worek nieszczęść rozwiązał się na świętych Piotra i Pawła, w czerwcu 1943 r., kiedy to Ukraińcy zaczęli, coraz częściej i śmielej napadać na Polaków, w takich stronach jak Swojczówka. U nas póki co, wciąż było spokojnie.

### O ŚWIĘCENIU NOŻY

W Kohylnie mieszkała polska rodzina Drabików. Mój brat Leonard, który ożenił się z Heleną Roch, Polką z Zastawia – Kohylno, znał tamtejszych Polaków, w tym Drabików. To właśnie Drabik opowiedział mi, co osobiście widział i słyszał w prawosławnej Cerkwi w Kohylnie, mówił tak: „*Gdy sprzątaczką była w Cerkwi, ja niepostrzeżenie ukryłem się na chórze i tam sobie przez jakiś czas siedziałem. Gdy rozpoczęło się prawosławne nabożeństwo, na własne oczy zobaczyłem, że w koszach przygotowanych do poświęcenia przez prawosławnego popa, zamiast przygotowanego ciasta, zwanego potocznie: PASKI znajduje się dużo ostrych narzędzi. Za chwilę odbył się sam obrzęd poświęcenia tych narzędzi.*” I dodał: „**Leonarko, ja uciekam za granicę, bo boję się, że te poświęcone w Cerkwi narzędzia, mogą być użyte przez Ukraińców, przeciwko nam Polakom!**” Brat zaraz wrócił na Teresin, zaszedł też do naszego domu i opowiedział, co usłyszał od Drabika. Nasz tatuś Jan zaczął się nad tym zastanawiać i powiedział: „*Nie, Kohylno to się na nas nie rzuci, ale przyjdą Huculi z innych stron i tych się trza bać, ci mogą nas mordować.*” Ale brat mój nie dawał się przekonać i tak powiedział: „*Tatuś ja jednak wierzę, że Drabik mówił prawdę i Kohyleńcy mogą nas napaść brońmy się, róbmy jakąś organizację.*” Ale nasz tatuś zaraz mu przerwał i zdecydowanie zabronił mówiąc: „**Nie pozwalam, nie będziemy naszych rąk maczać w ruskiej krwi!**” W tej sytuacji, pomimo tak groźnych znaków, zapowiadających w przyszłości, coś bardzo niedobrego, nadal nasza społeczność, nie zdobyła się na organizację, w rezultacie nadal trwoniono cenny czas i nie zorganizowano żadnej samoobrony.

### PSZENICA I KĄKOL

Niedługo później do naszego domu przyszedł nasz sołtys Ukrainiec Środa i jak zwykle rozsiadł się wygodnie w pokoiku przy kuchni i spokojnie rozmawiał z naszym tatusiem. W pewnym momencie powiedział tak: „**Rusiecki słyszeliś Ty, że budem plewety kąkil?**” A tatuś od razu do niego: „**A kto ten kąkilem bude?!**” A Środa bez żadnego zażenowania powiedział tak: „**A wy!**” W tym momencie pokazał palcem wprost na mojego tatusia Jana. Ledwie skończył, mój brat Leonard porwał go za fraki i tak nim huknął o ścianę naszego domu, aż się cały zatrzęsł. Pomyślałam sobie w sercu: „*A daj mu tam dobrze, aby popamiętał!*” Ale tatuś zaraz krzyknął na niego i nie pozwolił zrobić mu krzywdy. Środa wiał z naszego domu, tylko się za nim kurzyło, nawet nie miał czasu się obejrzeć.

Pod koniec czerwca 1943 r. do naszego domu przyleciały siostry: Sabinka i Helenka Nowaczyńskie, były bardzo przerażone. Zaczęły z miejsca opowiadać, jak ostatniej nocy z soboty na niedzielę, do ich domu przyjechali Ukraińcy i pod przymusem zabrali z domu ich tatusia, którego następnie brutalnie zamordowali, a ciało porzucili w lesie. Znalazły bowiem ciało zmasakrowanego ojca, był pobity, miał obcięty język i wydłubane oczy, na koniec dobili go strzałem w tył głowy. Widać było po śladach, że jeszcze się trochę czołgał, potem wyzionął ducha. Zaraz jego brat Jan Nowaczyński lat około 26, wybrał się we wskazane miejsce i przywiózł ciało do domu. Natomiast ja i mój brat Leonarko, obmyśliśmy je starannie i ubraliśmy na ostatnią drogę, a już w poniedziałek ks. Franciszek poświęcił trumnę przed Kościołem. Sama uroczystość pogrzebowa odbyła się na cmentarzu, ale nawet tam, Polacy nie czuli się już spokojni. Mój brat Leonard zauważył bowiem w pewnym momencie, zbliżających się drogą ukraińskich policjantów, nie miał już złudzeń, co do ich intencji, dlatego skoczył bystro do rowu, a stamtąd na drogę i chodu do domu. Tymczasem Ukraińcy rzeczywiście wczepili się ojca już na cmentarzu, aby zawiózł ich na Dominopol. Ale ojciec mając złe przeczucia, wymawiał się jak mógł, tłumaczył że ma dzieci i nie może ich tu zostawić, musi je przecież odwieść do domu. Pytali także o syna Leonarda, a widząc że nic nie wskórają, dali mu wreszcie spokój. Tym razem się udało, ale od tej pory nasz tatuś ukrywał się poza domem. Właściwie poza mną, która miałam małe dziecko, wszyscy kryli się po sadach, ogrodach i polach. Zapamiętałam jedną z tych dramatycznych wówczas rozmów: „*Ty masz inne nazwisko, to ciebie nie będą ruszać!*” Nasz tatuś nie miał jednak już żadnych złudzeń i od razu sprostował: „**To nie o nazwisko chodzi, tylko o to, że kogo Ukraińcy w domu zastaną to zabiją, a jeszcze będą męczyć! Chowajcie się wszyscy, gdzie kto może, ale zawsze osobno, niektórzy może wtedy zginą, ale nie wszyscy.**” Przypuszczam także, że Wila i jego rodzinę Ukraińcy zamordowali tej samej nocy, co Władka Nowaczyńskiego. To była bardzo bogata rodzina polska,

mieszkająca zaraz za lasem w ukraińskiej wsi Beheta. O ich tragedii dowiedziałam się od naszej rodziny na Teresinie.

Tego dnia, mój tatuś Jan wybrał się do Kościoła na sumę, jak zwykle na godzinę 11.00, a przechodząc obok domu Andrzeja Rusieckiego, spotkał go i razem udali się na nabożeństwo. Tego dnia do Kościoła przybyły nieprzeliczone tłumy, ludzie wiedzeni jakby złym przeczuciem, czując że w powietrzu wisi coś niedobrego, przybyli do swojej ukochanej Królowej i Matki, chyba ze wszystkich stron rozległej parafii. Nawet nasz tatuś wspominał potem, że taka moc wiernych, przybywała tylko podczas wielkich uroczystości odpustowych. Gdy Polacy gorąco się modlili, wypełniając świątynię od środka i oblegając na zewnątrz, 12 uzbrojonych Ukraińców na jednej furmance zajechało do sklepu Andrzeja Rusieckiego. Dowodził nimi oficer w stopniu pułkownika w polskim mundurze wojskowym, a widząc gospodynię Bronisławę, żonę Andrzeja, zarządzili dla siebie poczęstunek. Podała im zaraz kielbasy i wódki, zauważyła że jedząc łapczywie, co chwilę nerwowo spoglądają na swoje zegarki.

Tymczasem nabożeństwo w swojczowskim Kościele, powoli dobiegało końca i pierwsi wierni zaczęli wysypywać się na zewnątrz świątyni. Ukraińcy widząc ten ruch, zerwali się jak poparzeni i zaraz podjechali furmanką pod Kościół, zanim jednak dotarli, wielu ludzi było już kawałek stąd, jeszcze tylko ostatnie grupy opuszczały mury Kościoła. Ukraińiec zaczął jednak krzyczeć na cały głos: „*Ludzie zaczekajcie, mam wam coś ważnego powiedzieć!*” Gdy wielu rzeczywiście zatrzymało się i czekało tych nowin, w tym także mój tatuś Jan, on tak zaczął ponownie mówić: „***Powiadomcie wszystkich, że za tydzień, w następną niedzielę, do Kościoła w Swojczowie przyjedzie polski ambasador i będzie miał ważną przedmowę. Będzie też zapisywał do wojska wszystkich chętnych, a kto będzie chciał, otrzyma broń dla własnej obrony! Widzicie bowiem, co się dzieje, a tak będziecie mogli się bronić. Przybądźcie wszyscy kto może!***” Gdy tatuś to usłyszał, od razu mu się to nie podobało, przeczuwał coś niedobrego. Dlatego nie zatrzymywał się tam dłużej i nawet nie wdawał się z nimi w dyskusję. W domu zaś opowiadając nam wszystko, w tym także mi, podsumował to wymownie: „*Ja im nie wierzę, coś oni to innego planują!*”

#### **WIERNY PRZYJACIEL MILUŚ**

Przez następny tydzień, było u nas na Teresinie, wyjątkowo spokojnie, taka swoista „cisza przed burzą”, naprawdę coś w tym popularnym powiedzeniu jest, bowiem i w tamtych okolicznościach i w tamtych dniach, nic się właściwie szczególnego nie działo. A jednak ja, moja rodzina i wielu mieszkańców naszej kolonii, wszyscy czuliśmy pod skórą, że coś niedobrego się szykuje, że coś niedobrego lada dzień może się wydarzyć. W każdym razie coś wisiało w powietrzu, ludzie to czuli i zachowywali się dość niespokojnie.

Częściej się ze sobą spotykali i naradzali między sobą, szeptali po cichu to i owo, nikogo robota się nie trzymała. Ludzie nie mieli chęci pracować, nawet nasze psy, jakby coś wyczuwały, bowiem jak nigdy w całej wsi, wyły po całych nocach. To stawało się naprawdę trudne do zniesienia, chwilami dosłownie. Dla przykładu, gdy słyszałam naszego psa, jak przejmująco wyje na naszym podwórzu, to niemal przechodziły mnie dreszcze i ogarniał mnie jeszcze większy niepokój. Próbowалам się uspokajać, wmawiając sobie, że nasz duży i groźny wilczur Miluś po prostu jest głodny, więc co chwilę wynosiłam mu coś do jedzenia. Ale to nie pomagało, bowiem nasz kochany Miluś nadal wył głośno i żałośnie. Nie pamiętałam, aby wcześniej kiedykolwiek wył tak jak teraz, tym bardziej, żeby kiedykolwiek wcześniej, niemal wszystkie psy na naszej kolonii, wyły tak żałośnie i przez tyle dni. I wtedy i jeszcze dziś, daje mi to wiele do myślenia, ufam że wobec tego wszystkiego, co się później wydarzyło, nie był to przypadek, ale wprost niezwykle znak dany nam z Nieba. Znak, zapowiadający właśnie te krwawe misteria, które potem z całą mocą wystąpiły i tę żalobę, która właściwie trwa po dziś dzień. I te stworzenia to czuły, jakże więc mądrym i dobrym stworzeniem był nasz kochany Miluś. Tak jak większość innych czworonogów, został zastrzelony, bądź zarąbany, podczas nocnego pogromu mieszkańców naszej kolonii w sierpniu 1943 r.

#### **KRWAWA NIEDZIELA 11 LIPCA**

W tragiczną noc z 10 na 11 lipca 1943 r. cały czas padał deszcz, a choć noc była spokojna i ciepła, psy wyły wprost niemiłosiernie. Rano wstałam, ubrałam się i postanowiłam iść do Kościoła. Ojciec zwykle wyganiał nas do Kościoła, z miłością wspominał o tym obowiązku, a jak trzeba było

to i upominał, ale tym razem nie powiedział ani słowa. Znamienne jest to, że choć coś przeczuwał, jednak Bogu zaufał i iść mi nie zabronił, choć dobrze wiedział, że się tam wybieram. Gdy byłam już w drodze, przestał padać deszcz, ale dzień nadal był pochmurny. Po dotarciu na miejsce, weszłam do środka i od razu się zdziwiłam, bowiem prawie nikogo nie było na nabożeństwie. Co prawda, przyszedłam chwilę przed czasem, ale już za chwilę ks. Franciszek rozpoczął odprawiać Mszę Świętą, a ludzi nadal było jak na lekarstwo.

Pod koniec tej niezwyklej Ofiary, z ciekawości policzyłam wszystkich obecnych, było nas tylko 18 osób, a z ks. Franciszkiem i organistą Jakubowskim ledwie 20 osób. Ks. proboszcz widać też coś przeczuwał, bowiem uwijał się przy Ołtarzu znacznie, tak że trwała stosunkowo krótko. Jednak zanim zakończył modlitwę, jeszcze przed komunią świętą, nagle zamknęły się główne drzwi Kościoła, a ponieważ były bardzo szerokie w środku zrobiło się ciemno. W tym momencie drzwiami od Zakrystii weszło do Kościoła dwóch Ukraińców z bronią na ramieniu, ks. Franciszek widząc co się dzieje nie przerywał jednak modlitwy. Ja i inni zaskoczeni bardzo, patrzyliśmy na nich i w duchu zastanawialiśmy się: „*Co oni tu robią ? Po co oni tu przyszli ?*” Tymczasem oni stanęli tuż przy Ołtarzu i jakby nie wiedzieli co robić, jeden z nich patrzył w głąb Kościoła i mając ręce na wysokości brzucha rozkładał je na zewnątrz i ponownie składał, tak jakby chciał powiedzieć: „*Nic z tego, tu nikogo prawie nie ma! Nie ma kogo strzelać!*” albo: „*Tu nie ma co robić!*” Natomiast drugi, trzy razy zdejmował swój karabin z ramienia i opuszczał na posadzkę, a potem znowu zakładał na ramię. W tym momencie ks. Franciszek jeszcze się modlił przy Ołtarzu, a oni wciąż porozumiewali się między sobą, dając jakieś znaki, im tylko wiadome. Ksiądz zaraz udzielił błogosławieństwa i odszedł do Zakrystii, gdy tam szedł dwaj Ukraińcy przepuścili jego i organistę. A ja i inni mocno przestraszeni, tą niejasną sytuacją, mając złe przeczucia, od razu zaczęliśmy opuszczać świątynię.

Na tyłach Kościoła zobaczyłam wtedy jeszcze czterech Ukraińców z bronią na ramieniu, na głowach mieli czapki i szare jednakowe mundury. Widząc, że wychodzimy pchnęli drzwi, tak że się otworzyły, wtedy zobaczyłam, że jeszcze tuż za drogą na łące, naprzeciw wejścia Kościoła przy wozie, stało ich przynajmniej sześciu. Widziałam jak na mnie patrzyli, przy czym spoglądali na siebie, jakby również nie wiedzieli co robić, zrobiło mi się naprawdę gorąco, byłam już niemal pewna, że zaraz któryś wypali do mnie z dwururki. Na szczęście tak się jednak nie stało. Szłam więc dalej z duszą na ramieniu i robiłam wszystko, aby nie widzieli, że się ich obawiam i w tym momencie poczułam, że moje nogi są dosłownie jak z waty, że niemal uginają się pode mną. Gdy tylko odeszłam dość daleko, odwróciłam się i poznając, że już mnie nie widzą, rzuciłam się do gwałtownej ucieczki. Biegłam niemal bez tchu, aż do samego domu.

Na chwilę wrócić jeszcze do samego Swojczowa, otóż przy Kościele widziałam także trzy furmanki oraz jednego furmana, a w samej wsi uderzała pustka, ani jednej duszy na ulicy. Ludzie chyba jednak i tam przeczuwali coś niedobrego, nie ufali Ukraińcom i wszyscy, niemal jak jeden mąż pozostali na ten czas w swoich domach. Tym bardziej, że poprawiła się znacznie pogoda, deszcz już nie padał, a na niebie pojawiło się słońeczko. Gdy tylko wbiegłam na nasze podwórko, od razu zobaczyłam czterech naszych sąsiadów: Aleksandra Terleckiego lat około 34, wujka Jana Wawrynowicza lat około 52, Ożgę lat około 38 i mojego tatusia Jana. Oni też mnie zauważyli i od razu zawołali na mnie, abym przyszła, chcieli wiedzieć co się dzieje w Swojczowie. Opowiedziałam im to wszystko co widziałam i przeżyłam w naszym Kościele, a tatuś powiedział wtedy do mnie tak: „*My już wszystko wiemy, właśnie przyszedł do nas pan Terlecki i poinformował, że do domu wróciła jego córka Franciszka, która ostatnio mieszkała w okolicach Kisielina i słyszała jak Ukraińcy napadli na ludność polską, zgromadzoną na niedzielnej Mszy Świętej w Kościele. Słyszała tam mocną strzelaninę i uciekła do nas na Teresin. Janiu Ty nic nie wiesz, Dominopol też wymordowany!*” Po tych słowach przejęłam się nie na żarty, jeszcze może nie do końca, ale już rozumiałam, że nasza sytuacja stała się trudna, a my znaleźliśmy się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Zareagował także mój organizm, poczułam się głodna i poszłam do domu. Tatuś dopiero pod wieczór wrócił do domu, wcześniej bowiem kopał schron dla mnie i dla dziecka.

Gdy powoli zachodziło słońce, ja i mój tatuś, mamusia i moje siostry: Adela, Leokadia, Halina oraz brat Leonard z bratową, wszyscy staliśmy i zastanawialiśmy się jak się chować przed Ukraińcami. Wtedy od strony Swojczowa, traktem nadjechało trzy furmanki, a na nich siedzieli banderowcy z bronią. Ponieważ było daleko, nie wiem ilu ich było, ale raczej dużo, widać było że

pojechali w stronę wsi polskiej Ludmirpol. Jeszcze przez chwilę tak staliśmy, a niedługo później usłyszeliśmy bardzo duży krzyk, lament i pisk, a działo się to wyraźnie na Ludmirpolu. Słysząc też było dużą strzelaninę i trwało to około dwóch godzin, a potem nagle zrobiło się cicho. Sądziłyśmy, że ci sami bandyci, którzy prawie na pewno mordowali właśnie ludność Ludmirpola, będą zaraz wracać przez Teresin i tu siejąc śmierć i zniszczenie. Każdy szukał więc sobie schronienia, ale ta noc minęła jeszcze spokojnie.

#### W KOHYLNI

Jakże inny był poniedziałek, od samego rana budził się piękny dzień, słońce świeciło wyraźnie. Tatusz wciąż martwił się naszym położeniem, postanowił więc, że wybierzemy się przez Kohylno na naszą łąkę, aby kosić siano. Chciał zobaczyć kogoś z mieszkańców Kohylna i porozmawiać o ostatnich wydarzeniach. W drodze nikogo jednak nie spotkaliśmy, a robota też się nas nie trzymała. Widząc, że idzie czarna chmura i zaczyna padać kroplisty deszcz, postanowiliśmy uciekać do domu. W drodze spotkaliśmy Ukraińca, który jeszcze kosił trawę nad stawem, tatusz chwilę z nim rozmawiał. Ukraińiec dobrze nam radził: „**Chowajcie się, bowiem coś niedobrego się dzieje!**” Płakał przy tym, ale już jego syn inaczej zgoła się zachowywał, wręcz wrzeszczał na niego, bez cienia szacunku dla ojca. Był wyraźnie niezadowolony, że jego ojciec rozmawia z nami Lachami, przy tym wcale się z tą wrogością przed nami nie krył. Razem z nami wracał też Terlecki, schowaliśmy się wszyscy od deszczu pod ukraińską szopą w Kohylnie. Tam zauważył nas młody chłopak o nazwisku Taras, Ukraińiec lat około 17 i zaraz przyszedł do nas z bronią gotową do strzału. Od początku zachowywał się bardzo buńczucznie, a Terlecki widząc jego nastawienie nie wahając się rzekł ostro: „*Ty gówniarzu schowaj to, Ukrainę budujesz? Twoja Ukraina żółta huba, senia sraka taka wasza odznaka.*” Młody Ukraińiec zaś na to, tak rzekł: „*Jakiej cholery wy tu prijszli ?*” I zaraz dodał: „*Ja wam tu zaraz dam!*” W tym momencie ja i moje siostry, rzuciłyśmy się do gwałtownej ucieczki przez ukraińskie ogrody, zaraz też usłyszałam strzał za sobą i byłam pewna, że właśnie zastrzelił Terleckiego.

Przybiegłyśmy aż na Teresin, a po jakimś czasie przyszedł też ojciec i uspokoił nas, że Terlecki też żyje. Zauważyłam, że ojciec jest niemal załamany, jego szczerą nadzieję się nie spełniły, okazało się bowiem, że nawet Kohyleńcy mogą się na nas rzucić, jak zgłodniałe wilki na bezbronne i niewinne owce. Tego się rzeczywiście do końca nie spodziewałam, **on który tyle lat przeżył wśród tych ludzi, który tyle dobrego dla nich uczynił i który również tyle dobrego z ich strony doświadczył, sądził dotychczas, że ma moralne prawo taką nadzieję mieć. Teraz jednak już sam rozsądek, słusznie nakazywał mu taką nadzieję porzucić. W jego życiu, coś się definitywnie skończyło**, na tym etapie bowiem budowanie zgodnego współistnienia Polaków i Rusinów obok siebie, nie miało już żadnych, najmniejszych szans. Pozostawało dwa wyjścia: walczyć z bronią w rękę, ratować ludzi i to wszystko, nad czym całe życie z mozołem ciężko pracowałam, albo porzucić wszystko i z duszą ratować siebie i najbliższą rodzinę, uciekając do miasta. Miał tu rzeczywiście, niemały orzech do zgryzienia.

Ojciec z całą pewnością nie był tchórzem, udowodnił to mi i nam wszystkim, tak wiele razy, że tym razem, wcale nie musiał się na to silić. Ufaliśmy jego mądrości i odpowiedzialności, jestem niemal pewna, że nawet jeszcze wtedy, na jedno jego słowo, znalazłoby się wielu takich chojraków, jak Terlecki, którzy z nim, byli gotowi na wszystko i którzy mogli stworzyć, w stosunkowo krótkim czasie, co najmniej prowizoryczną bazę samoobrony. Znajomość terenu, bliskość lasu i miasta oraz duże znajomości, to wszystko razem, gwarantowało niemal pomyślność takiej inicjatywy. Dlaczego więc tatusz się na to nie zdecydował, przecież wiedział o tym dobrze i znał się na tym daleko bardziej niż ja. Sądzę, że pełnej odpowiedzi, należy upatrywać w wielu tamtych okolicznościach, o których już pisałam, a które czyniły nasze położenie bardzo trudnym. Jednak **decydująca okazała się głęboka pobożność naszego tatusia, która zrodziła w nim wielką miłość, nie tylko do Boga, do swojej żony Zofii, dzieci, sąsiadów, których zawsze miał w głębokim poważaniu, ale do każdego człowieka, bez względu na to czy był Polakiem, Rusinem czy Żydem. Ojciec wszystkich szanował i w takim duchu, w poszanowaniu godności drugiego człowieka wychowywał także nas.** Doskonale oddają to jego własne słowa, które wypowiedział w dramatycznej rozmowie z własnym synem. Na propozycję Leonarda: „*Ojczyńce róbmy coś, brońmy się, róbmy jakąś organizację!*”, on świadom, że i teraz i w przyszłości, może być źle zrozumiany i

odebrany, wziął na siebie ten Krzyż i powiedział w duchu Jezusa Chrystusa, swojego Mistrza: „*Nie pozwalam! Nie będziemy przelewać ruskiej krwi!*” Czy w tym momencie popełnił błąd, czy postąpił słusznie? Osobiście uważałam i nadal uważam, że postąpił słusznie, ale nie mnie to osądzać.

Na koniec trzeba jeszcze pamiętać, że na naszej kolonii, w tamtej napiętej jakże sytuacji, bardzo brakowało broni, właściwie prawie jej nie było. Tymczasem u Ukraińców, jak się okazuje, nawet co niektórzy nastolatki mieli swoje karabiny. To również poważnie wpłynęło na ojca decyzję, wiedział bowiem, że bez ostrej broni i wystarczającej ilości amunicji, w razie napadu, nie dadzą rady się obronić, a nie miał wcale pewności, czy zdoła ją zdobyć w najbliższym czasie. W takiej sytuacji powstanie bazy polskiej samoobrony na Teresinie, które na pewno nie uszło by czujnej uwadze Ukraińców, mogło by tylko sprowokować przyspieszony napad na ich kolonię, który w tej sytuacji, mógłby się zakończyć całkowitą masakrą polskiej ludności. Rozważał zatem w sercu: narażać życie tych i tak zbiedzonych już strachem i ciągłym ukrywaniem się ludzi, czy jednak dać sobie spokój i uciekać do miasta. Nad tym właśnie teraz myślał i nad tym się głowił. Doskonale wiedział bowiem także, że wielu już uciekło, a wielu szykuje się to uczynić, jeśli to zrobią, ci którzy jeszcze zostaną, w razie napadu będą bez szans. Ostatecznie z ciężkim sercem wybrał mniejsze zło: ucieczkę całej naszej rodziny do miasta.

### WSPÓLNA NOC W LESIE

Tatuś po powrocie z Kohylna, był więc już innym człowiekiem, całą resztę dnia był jakiś taki roztargniony i na obiad nie chciał przyjść nawet, robił sobie schron w stodole. Ja tymczasem zabrałam się do robienia ciasta, na chwilę jednak wyszłam za czyś z domu i właśnie wtedy, spotkałam na drodze dwóch znajomych ukraińskich policjantów: Aloszę Stolaruka i Jasinę Saniota. Zaczęli mnie wypytywać o ludzi mieszkających na naszej kolonii ale ponieważ rozmowa się przedłużała, zostawiłam ich i poszłam do brata Leonarda. Co prawda krzyczeli za mną groźnie, ale ja na to wcale nie zważałam. Na wieczór upiekłam chleb, a potem zabrałam dziecko i Halinkę i schowaliśmy się na noc w schronie. Noc była bardzo spokojna i nie słychać było żadnej strzelaniny, podobnie cały wtorek, nic się właściwie nie działo.

Dopiero na wieczór tatuś postanowił, że tej nocy nie będzie nocował w naszym domu, ale w lesie. Ja tymczasem już wcześniej ukryłam się w leśnym okopie, a widząc ich na furmance przyłączyłam się do nich. Inni sąsiedzi z Teresina również powiadali na swoje furmanki i całymi rodzinami zjechali się przed gajówkę Władka Karbowiaka. Tej nocy zgromadziła się tam niemal cała nasza kolonia. Cóż to była za straszna noc, deszcz lał niesamowicie, a pioruny waliły, aż chwilami robiło się jasno na dworze, nad nami rozpełtała się prawdziwa burza. Nasi mężczyźni całą noc czuwali pod bronią. W tym samym czasie ludność ukraińska z Kohylna również ukryła się w lesie, całkiem niedaleko nas, słychać było nawet parskanie koni, tak przynajmniej powiadali nasi ludzie. Nad ranem przestał padać deszcz, ojciec poszedł sam do domu, chciał zobaczyć co tam się dzieje, a ponieważ długo nie wracał i mamusia poszła za nim. Kiedy i jej nie było z powrotem przez dłuższy czas, wtedy i my furmanką wróciliśmy do naszego domu.

Okazało się, że w nocy ktoś był w naszym domu, bowiem wszystko było poprzewracane, widać czegoś szukali, tak było chyba w każdym domu, w całej naszej kolonii. Dowiedzieliśmy się o tym od Jana Bojko, syna Mikołaja, który przyszedł do nas i tak zaczął opowiadać: „*Tej nocy gdy wy byliście w lesie na Teresin przyjechało trzech Ukraińców i chodzili po wszystkich domach, buszowali i wszystko przewracali. Z sąsiedniego Mikołajpola przywieźli też Jana Bojko, mojego stryjecznego brata i wozili po całej wsi. Potem wywieźli go aż na Poczekajkę i tam myślał, że go zabiją, ale okazało się że puścili go wolno.*” Wcześniej jednak tak do niego przemówili: „***Wracaj na Teresin i powiedz wszystkim, aby ludzie nie bali się Ukraińców. Tylko niech wracają do swoich domów i niech spokojnie zbierają zboże z pól. Nikt nie będzie ich ruszał, bo teraz my zapewniamy wam bezpieczeństwo. Powiedz niech nie słuchają tego, co dookoła opowiadają ludzie, bowiem ci, których nasi zabili, byli sobie sami winni. Oni coś tam organizowali, a wy ludzie spokojni, nikomu nie zawadzacie, dlatego nikt was nie będzie ruszał!***” Tatuś to wysłuchał, ale wcale się tymi słowami nie przejął, po prostu nawet przez chwilę nie wierzył w ich prawdziwość, dalej gorączkowo szykował mięso z mamusią, na wypadek naszej ucieczki do miasta. Rodzice już bowiem zdecydowali, że nie ma co dłużej czekać, tylko trzeba uciekać do miasta, póki jeszcze wogóle można. Jeszcze tego samego ranka, tatuś zobaczył swojego stryjecznego brata Mariana

Rusieckiego ze Swojczowa, który właśnie jechał furmanką i uwoził swoją żonę Czesławę z domu Buczko oraz dwoje swoich dzieci. Jak się później dowiedzieliśmy właśnie w popłochu uciekali do Włodzimierza.

#### UCIEKAMY Z TERESINA Z DUSZĄ NA RAMIENIU

Na razie Marian z daleka dostrzegając ojca, wyraźnie machał i czapką wskazywał drogę na miasto, ojciec nie był ciemny i doskonale rozumiał jego intencje. Tym bardziej dawał do myślenia ich gwałtowny pośpiech i to, że nawet się nie zatrzymali, wniosek nasuwał się sam, sytuacja staje się coraz bardziej groźna, a czasu mamy coraz mniej. Tatuś zaraz w te pędy pobiegł po Leonarka i gorąco zaczął go namawiać, aby również natychmiast uciekał. Był już przekonany, że w tym momencie, to najlepsze wyjście z wszystkich możliwych, włącznie z organizowaniem samoobrony. Brat opierał się, ale z szacunkiem należnym ojcu, był przy tym wprost zrozpaczony, na wszelkie sposoby tłumaczył: „**Tatuś trzeba nam się bronić, gdzie będziemy uciekać do miasta?! Tu nasze domy i rodziny i tu nam trzeba zostać, żyć i bronić się! Ja pójdę jeszcze dziś, do całej naszej kolonii i z Terleckim zbierzemy grupę ludzi, stworzymy swoją samoobronę i będziemy bronić dobytku i życia**”. Ale tatuś był temu zdecydowanie przeciwny, był człowiekiem głęboko religijnym i nie chciał przelewać ludzkiej krwi. Poza tym, mówił wprost: „**Nie macie broni, nie macie naboju, czym będziecie się w takim razie bronić? Ukraińcy mają prawie wszystko, dlatego nie pozwalam! Zbierać się wszyscy, zaraz uciekamy do miasta!**” Podobnie mówiła Helena, rad nie rad, rozpacział, nawet płakał w tej doli mój brat, jak dziecko, ale w końcu posłuchał ojca i przed ucieczką zniszczył radio, które miał skrzętnie ukryte. Połamał także ćwiczebną dubeltówkę, którą miał jeszcze przed wojną, bowiem należał do elitarniej organizacji wojskowej „KRAKUSY”. Zresztą nie był jedyny, w naszej wsi, wielu chłopców należało do tej organizacji, w tym: Bolesław Wysocki, Zygmunt Szwyda, Stanisław Gdyra, Kazimierz Buczko i Antoni Buczko. Przy czym większość jej członków mieszkało w Swojczowie, żeby wymienić chociaż Tadeusza Rak i Hasiaka. Raz w miesiącu zbierali się i mieli wtedy wykłady, ćwiczenia oraz biegi sportowe.

Tymczasem w naszej wsi sprawy nabierały coraz większego tempa, jeszcze się kurzyło na drodze za Marianem, a już tatuś dostrzegł, że od strony lasu i karczunku idzie drogą w naszą stronę trzech mężczyzn i niosą jakieś narzędzia. Na początku bardzo się przestraszyliśmy, że to idą bandyci i zaraz się pochowaliśmy. Ale oni zbliżając się zaczęli głośno wołać: „Rusiecki! Rusiecki!!” Nasz tatuś poznał ich i wyszedł im naprzeciw, długo razem rozmawiali, ale w końcu przybysze odeszli w stronę miasta Włodzimierz. Ojciec wrócił do nas i w chacie opowiadał żywo, czego się właśnie od nich dowiedział. Ja również gdy tylko weszłam do domu, pytałam ciekawie, co to za jedni byli i czego chcieli, a Halinka siostra moja, tak mi wtedy powiedziała: „*To byli taty znajome, Buczko i ktoś jeszcze. Uciekli z Władysławówki ponieważ sąsiednie osiedla: Jasionówka, Czesnówka i Ledachów już zostały wymordowane przez Ukraińców. Radzili dobrze, aby nie czekać, ale uciekać do miasta.*” W tej sytuacji nasz tatuś, ostatecznie postanowił, że trzeba koniecznie uciekać i nie wolno zwlekać, ani chwili dłużej, z tym właśnie udał się przez drogę do syna. Była już godzina 10.30 przed południem, gdy ja wyruszyłam drogą przez wieś do miasta, tatuś jechał wozem, a my szliśmy obok, uważnie patrząc, czy gdzieś nie widać Ukraińców. Bardzo się baliśmy, ale nie było wyjścia, jechaliśmy dalej. Z domu prawie nic nie wzięliśmy, bowiem nie mieliśmy pewności, czy uda się z tego piekła, bodajże duszę ocalić, a cóż dopiero myśleć o rzeczach materialnych i przyziemnych. Tymczasem już za kilka godzin byliśmy w mieście, a sama doga przebiegła bardzo sprawnie i bez żadnych, najmniejszych przeszkód. Jedynie gdy przejeżdżaliśmy przez ukraińską wieś Poniczów, tam **przy drodze stały trzy ukraińskie kobiety i widziałam jak patrzyły na nas, takich rzeczy zapomnieć się po prostu nie da. Śmiały się, wręcz rechotały i choć domyślaliśmy się, że to z nas tak sobie kpią i to w żywe oczy**, jednak pewności nie było. Na sam raz, jednej z nich, najwyraźniej to, nie wystarczyło, bo krzyknęła do nas dość głośno tak: „**Kuda, kuda? W Buch! Ne za Buch!**” Mamusia na te jakże bardzo wymowne życzenia, zdenerwowana zaraz odkrzyknęła: „*A wam miejsce na Ostrowok!*” Z powodu tego niemiłego incydentu, nie zatrzymywaliśmy się jednak, ani na chwilę, czasy były złe i do nieszczęścia nie trzeba było dużo.

## WE WŁODZIMIERZU WOŁYŃSKIM

W mieście zatrzymaliśmy się na ulicy Kowelskiej, zaraz przy torach, tam tatuś rozmawiał z Niemcami, którzy tam mieli swoją kancelarię. Tam też, zaraz niedaleko, znaleźliśmy sobie nocleg, potem zdecydowaliśmy tam zamieszkać. Miejsce to stało się naszym tymczasowym domem, aż do środy popielcowej, kiedy to wraz z innymi wyjechaliśmy za Bug na Zamojszczyznę. Udana ucieczka z Teresina dodała nam wszystkim otuchy, ale dopiero teraz nieco puściły nerwy i poczułam, jak bardzo jestem zmęczona wydarzeniami ostatnich dni. Byliśmy naprawdę na skraju wyczerpania psychicznego i fizycznego, na szczęście miasto, duże skupisko Polaków, a przede wszystkim duży garnizon niemiecki, to wszystko maksymalnie zwiększało szansę na przeżycie i wyraźnie uspokajało. Także nasz tatuś, gdy tylko odpoczął, ciekawy był, co się dzieje w mieście, dlatego przemierzał ulice i place miasta i co chwilę starał się z kimś porozmawiać, chciał wiedzieć na czym stoi on sam oraz czym tętni samo miasto. A ponieważ był już człowiekiem raczej w starszym wieku, Niemcy właściwie go nie ruszali, dlatego swobodnie zbierał sobie potrzebne informacje. Jak tylko się coś dowiedział, zaraz przychodził do domu i opowiadał nam ostatnie nowiny, tak że po pewnym czasie, byliśmy wszyscy dość dobrze poinformowani o tym, co się w mieście kręci, gdzie i jak.

Na początku spotkał na jednej z ulic Mariana Rusieckiego, a on zaraz żywo opowiedział mu, co się stało u nich w Swojczowie, kilka dni wcześniej, mówił tak: *„Bardzo rano poszedłem kosić łąkę, było mokro. W tym samym czasie na nasze podwórko wjechało trzech Ukraińców na furmance. Weszli do domu i zaczęli wypytywać ojca: „Gdzie jest Marian, twój syn ?!” Tatuś nic nie przeczuwając wyszedł przed nasz dom i pokazał ręką: „O tam kosi łąkę!” Zaraz zażyczyli sobie, aby mnie przywołał i przyszedłem. Zobaczyłem, że na wozie siedzi już kilku znajomych ze Swojczowa, w tym: Eugeniusz Buczko lat około 21, Antoni Bedychaj i Leon Bedychaj lat około 20. Ukraińcy z miejsca do mnie: „Zabieramy ciebie na ćwiczenia wojskowe!” Próbowałem się wymówić, ale oni twardo nie chcieli mnie wypuścić z ręki, byli dziwnie uparci i powtarzali tylko jedno w kółko: „Przećwiczymy cię i puścimy, to nie potrwa długo!” Nie było rady, tak się mnie wczepili, że w końcu wsiałem na tę nieszczęsną furmankę i pojechałem z nimi. Tym razem udali się do Mierzejewskich, a tam pod nieobecność Wincentego, zabrali ze sobą Leona lat około 23, który grubo wcześniej uczęszczał na wykłady w szkole policyjnej. Potem pojechaliśmy po następnych Polaków: Felicjana Sioch lat około 22 i Brinysława Martul lat około 24. A więc wszyscy byliśmy młodymi mężczyznami, silnymi i zdrowymi, siedzieliśmy na wozie i nawet nam do głowy nie przyszło, że jedziemy na śmierć, beztrósko żartowaliśmy sobie do woli. A żarty dotyczyły właśnie owych ćwiczeń wojskowych, które nas czekały, zastanawialiśmy się wspólnie, jak ja będę maszerował, skoro buty zostawiłem na łące.*

*Wtedy właśnie wydarzyła się rzecz, której zawdzięczam ocalenie i życie zarazem. Otóż od strony Turii nadeszła moja ciocia, poznała mnie, a ja ją. Zauważyłem jednak, że ona płacze i fartuszką ociera łzy, mój nastrój zmienił się gwałtownie, pomyślałem sobie: „Coś tu jest nie tak, coś tu się szykuje niedobrego !” Ogarnęło mnie bardzo złe przeczucie i zrozumiałem, że to nie czas na żarty, natychmiast postanowiłem uciekać. Zsunąłem się już nawet z furmanki, ale jeden z Ukraińców zaczął krzyżeć na mnie, żebym zaraz wracał na wóz, że nie wolno się oddalać. Ja jednak konsekwentnie odsuwałem się, tłumacząc zarazem, że ja muszę za potrzebą, w duchu modliłem się: „Boże, aby tylko do pierwszej kopki !” Ukraińiec niemal już szalał ze wściekłości na wozie, a ja widząc że mam szansę, jak nie skoczę ostro do sadu. Strzelał drań za mną, na szczęście człowiek strzela, ale Pan Bóg kule nosi, a mi było dane żyć i uciekłem. Natychmiast pobiegłem pod swój dom i krzyknąłem przez okno, aby żona wzięła naszą furmankę, oboje dzieci i zaraz wyruszyła drogą do Włodzimierza Wołyńskiego. Gdy oni już jechali, ja dołączyłem do nich dopiero za cmentarzem. Potem już razem szczęśliwie przyjechaliśmy do samego miasta, po drodze mijając was i dając wam wymowne znaki, aby nie zwlekać, ale uciekać jak najszybciej.” Ojciec bardzo się nim przejmował, obawiał się poważnie, aby Marian z tego nie zwariował, mówił: „Co z tego, że On uciekł Ukraińcom, Jak On z tego wszystkiego, chyba postrada zmysły”. Na szczęście Marian doszedł do siebie i był w pełni zdrów.*

Ja w tym czasie cały czas opiekowałam się swoim dzieciątkiem oraz pomagałam mamusi w kuchni, bo było nas dużo, dlatego prawie wcale w tych dniach nie wychodziłam na miasto. Jedynie co do Kościoła w niedzielę, niekiedy zdarzało się, że byłam dwa razy w Kościele na tygodniu. W

mieście w tym czasie nie było Ukraińców, więc było w miarę spokojnie, jedynie na ulicy Lotniczej Ukraińcy dokonali kilku krwawych napadów, mordując bezlitośnie kilka osób, w tym i tak już bardzo boleśnie doświadczoną rodzinę Uleryków. Głośno o tym było w całym mieście, tymczasem policja polska zaczęła się i niedługo później schwytała jednego z bandziorów, jak znowu próbował kogoś napaść. Oczywiście okazał się nim Ukrainiec. Odprowadzono go na Cegielnię, gdzie od pewnego czasu miała swoją placówkę polska samoobrona, a jednym z dowódców był nasz brat Leonard. Tam przykuli go do pniaka i zostawili go tak na słońcu, a wszyscy chętni mogli sobie do woli pooglądać. Zameldowali przy tym Niemcom, że mają takiego gagatka. Oczywiście chcieli, aby ktoś go do nich przyprowadził. Rozkaz odprowadzenia jeńca otrzymał Polak Zygmunt Rak, ale jak się później chwalił mojemu bratu Leonardowi: „*Przeczytałem mu wyrok osobiście i usieklem bandziora na miejscu !*” Niemcom zaś posłano meldunek następujący: „*Niestety podczas nieuwagi naszych, Ukrainiec zdołał nam nawiać !*”

Oczywiście w naszej religii, niedopuszczalne jest czynienie zła, aby z niego wynikało dobro, a taka egzekucja może się wydawać, na pierwszy rzut oka czymś haniebnym. Proszę jednak pamiętać o tym, że Niemcy to była armia, tak zdegenerowana przez chorych faszystów, że pojęcie honoru, czy wydanie sprawiedliwego wyroku, praktycznie tam już nie funkcjonowało, w każdym razie u wielu. Było zatem zupełnie realne, że ów rezun, już za kilka dni będzie na wolności i z jeszcze większą zaciekłością będzie rezał Lachów. Trudno więc dla wroga, kiedy masowo giną Polacy, narażać się Niemcom, no bo właściwie w imię czego, tym bardziej trudno żywić bandytę, kiedy wielu naszych przymiera niemal głodem. To była straszna wojna, a ona rządzi się już swoistymi prawami i co najważniejsze: to nie my ją zaczęliśmy! Krótko mówiąc: „*Co kto sieje, to i zbierać będzie*” albo „*Kto dołki kopie, ten sam potem w nie wpada!*” Od tych złotych myśli i naprawdę życiowych praw, nikt z nas nie ma taryfy ulgowej, bez względu na to, czy jest Lachem czy Ukraińcem.

Pragnę wspomnieć także tragiczne losy Witolda Kalinowskiego, który wraz ze swoją rodziną mieszkał we wsi Dąbrowa. Tymczasem jego rodzony brat Jan zamieszkał w niedalekiej Ułanówce, gdzie żył bardzo dobrze w zgodzie z okolicznymi Ukraińcami. Gdy przyszedł jednak czas nienawiści, którego owocem były mordy, rzezie i samosady, najbliższy sąsiad, też Ukrainiec, ostrzegł go o zbliżającym się niebezpieczeństwie. On nie zamierzał ryzykować i zaraz tej samej nocy z żoną i dziećmi, wyjechał do Włodzimierza Wołyńskiego. Notabene odwiózł ich jego dobry sąsiad. Kiedy rodzina Janka dowiedziała się o jego ucieczce, zaraz udali się do jego domu i zabrali wszystko co przedstawiało sobą większą wartość. Kto z nich mógł wtedy przypuszczać, że już niedługo i tak wszystko to zostawiają, uciekając z duszą ledwie na ramieniu do miasta. Teraz jednak pożałowali syna, synowej i kochanych wnuków, a domyślając się, że mieście panuje głód, wysłali swojego młodszego syna Witolda, aby powiózł im żywnościową pomoc. Czasy były już straszne, dlatego matka wiedziona przecuciem, oczekiwała dziecka z niecierpliwością. Tymczasem Witol wciąż nie wracał i w nocy też go nie było. Rano, jeszcze ich jeden syn, pognął krowy na wyrąb leśny, tam nieoczekiwanie usłyszał jęki i krzyki, ktoś znęcał się nad swoją ofiarą. Pod ukryciem, zbliżył się do tego miejsca i podpatrywał. Zobaczył dwóch ukraińskich policjantów, którzy znęcali się nad młodym chłopakiem, który może już nieprzytomny, przestał piszczeć i krzyczeć. Oprawcy kontynuowali swoje dzieło, pchając ciało chłopca do wążutkiej jamy, a potem deptali po nim. Gdy tylko to zobaczył, nawet już nie pasł krow, ale ile miał sił w nogach przybiegł do domu i wszystko opowiedział. Zaraz mama i starsza siostra Felusia udały się ostrożnie w tamto miejsce, policjantów już nie było, znalazły natomiast ciało zabitego, w którym rozpoznały swojego kochanego Witola.

#### **POGROM NA TERESINIE**

Podobnie jak ja i moja rodzina, z Teresina uciekło bardzo wielu Polaków, którzy ukraińskim zapewnieniom nie ufali i słusznie obawiali morderczych napadów, podczas których pod nóż szli wszyscy i nikt nie miał taryfy ulgowej. Jednak ponieważ żniwa były za pasem, a ludzie zostawili tam niekiedy cały swój życiowy dorobek, wielu poważnie rozważało, czy nie wrócić do naszej kolonii. Na domiar złego, wszechobecna nędza i głód, wszystkim mocno dawał się we znaki, raczej żywnościowe na każdy dzień, były niemal głodowe. To były straszne dni, jednak tatuś nie tracił nadziei, starał się panować nad sytuacją, a nas wszystkich tak pocieszał: „*Dzieci głodne jesteście, to zaraz zarżnę konia!*” Ale my doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, że koń w tamtych warunkach był

niemal na wagę złota, niemniej jednak słowa ojca, skutecznie podnosiły nas na duchu, bowiem jego siła, mądrość i wielkie doświadczenie, jak zwykle dobrze rokowały na przyszłość. Dlatego zaciskaliśmy zęby i po prostu, trzeba było dalej trwać, żyć i walczyć. Na szczęście nasza siostra Adela poszła do pracy w koszarach niemieckich, gdzie przyjęto ją do kuchni, a stamtąd zawsze można coś było przynieść. Również nasz brat Leonard nie siedział z założonymi rękoma, ale wstąpił do polskiej samoobrony i stał z oddziałem na pobliskiej Cegielni, niosąc skuteczną pomoc setkom, wciąż uciekających przed rezunami Polaków. Podobnie mój szwagier Antoni Szczepański ochraniał ludność polską na placówce polskiej samoobrony we wsi Stęzarzyce. Obaj dysponowali pewnymi możliwościami, bowiem kto walczył to miał, i obaj nieśli nam wszelką możliwą pomoc. Nic więc dziwnego, że radziliśmy sobie coraz lepiej, okrzepliśmy w mieście i ani było nam w głowie wracać na niepewny Teresin. Niemal wszyscy, mieliśmy o takim pomyśle, jednoznaczną opinię: *„Choćbyśmy mieli zginąć z głodu, to pod siekierę nie pójdziemy !”*

Niestety, nie wszyscy w tej nowej sytuacji, mieli tak dobrze jak my. Poza tym Ukraińcy zapewniali wszem i wobec, że już nikogo nie będą zabijać, namawiali polskie rodziny, aby spokojnie wracały do polskich domów. Głosili wszem i wobec, że ci którzy mieli zginąć, już nie żyją, a reszta może spać po nocach spokojnie. Do Włodzimierza przyszła też z Teresina Weronika Topolanek i zaczęła gorąco namawiać swoich rodziców Jana i Józefę, aby śmiało wracali do domu, ponieważ zboże się marnuje na polu, a Ukraińcy zachowują się bardzo łagodnie, wręcz przyjaźnie. Mówiła tak: *„Dwóch Ukraińców przyszło do mnie na wieczór, i bardzo miło ze mną gawędzili, nawet dużo śmiali się i żartowali sobie. Rozmawiali ze mną po polsku i gorąco zachęcali, aby namówiła wszystkich chętnych na powrót z miasta do domu. Zapewniali przy tym, jak zawsze zresztą, że nic nikomu nie grozi, że nikomu „włos z głowy nie spadnie”*”. Weronika im widać uwierzyła i teraz tę prawdę, tę ukraińską propagandę z przekonaniem w mieście głosiła. A czyniła to z tak wielkim przekonaniem, że nawet jej poczciwi i ducha winni rodzice, postanowili w końcu o powrocie na Teresin. Gdy już zabierali się do odejścia, mój tatuś gorąco starał się odwieść ich od tego samobójstwa, a gdy wszystkie rozumne argumenty zawiodły, krzyczał wręcz: *„Nie idźcie Topolanek, oni wszystkich jednakowo traktują czy kto winny czy nie, wszystkich tak samo mordują i wcale nie szukają winnych !”* Topolanek, pamiętam jak dziś, płakał i mówił: *„Ja bym nie poszedł, bo ja też mam złe przeczucie, ale moja żona się uparła i muszę iść.”* Wziął rzeczy i rzeczywiście poszli na Teresin jak baranki na rzeź prowadzine, zdawały się wierzyć, że wilk już syty i teraz stał się ich przyjacielem. Potem wziął rzeczy i poszli na Teresin gdzie zamieszkali, trzeba przyznać, że jeszcze przez jakiś czas było naprawdę spokojnie.

W mieście byli do dwóch tygodni, a na Teresin wybrali się około 28 lipca, podobnie jak oni postąpiło bardzo wielu ludzi. Od tej pory, nie mieliśmy już od nich żadnej informacji, aż do dnia kiedy zaczęły do nas docierać pierwsze informacje o pogromie Polaków na Teresinie. Już na drugi dzień po tej straszliwej rzezi, do miasta przyszła nasza sąsiadka Polka Buczkowska, spotkałam ją na ulicy, a ona z miejsca zaczęła mi się bardzo żalić, że Ukraińcy zamordowali jej dwie córki: Aleksandrę i Eugenię oraz mamusię. Płacząc opowiadała tak: *„Ukraińcy napadli też rodzinę naszych sąsiadów Krochmali, nie widziałam jak ich mordowali ale słyszałam ogromny krzyk i pisk kobiet oraz wrzask Ukraińców: „Wylazi! Wylazi!” przy tym bardzo kleli i głośno bluźnili”*. Widać było jak wielką trudność sprawiało jej mówienie tych słów, cały czas bardzo płakała i rozpaczała. Zaraz też pożegnała się ze mną i odeszła, a ja udałam się do swojej teściowej Józefy Topolanek, która też cudem ocalała z pogromu i dosłownie co uciekła oprawcom. Gdy weszłam do jej domu przy ulicy Piaskowej, zobaczyłam że tarza się z bólu po łóżku i bardzo rozpacza. Bardzo chciała ratować męża, prosiła mnie: *„Janciu co robić ? Jak ściągnąć stamtąd mojego Jasia ?”* Próbowałam jej przetłumaczyć, że nie możemy narażać żywych ludzi na niemal pewną śmierć, gdy tam już leży zapewne samo ciało, bez duszy. Nie mamy przy tym pieniędzy, żeby przepłacić Niemców, dlatego pomimo bólu, trzeba z takiej wyprawy zrezygnować. Wiedzieliśmy bowiem od Buczkowskiej, że jej mąż już kilka godzin temu, leżał na wykończeniu w prosię w Lesie Kohyleńskim.

Jeszcze przez pewien czas pocieszałam ją, jak umiałam najlepiej, a potem wróciłam do domu. Następnego dnia wybrałam się do niej ponownie, zabierając ze sobą trochę jedzenia. Okazało się, że jej emocjonalny stan uległ wyraźnej poprawie, najwyraźniej pogodziła się z faktem, że mąż zostanie tam już na zawsze. Teraz mogła więc otworzyć się bardziej, zaczęła opowiadać mi

ze szczegółami, co się właściwie u nich wydarzyło i jak wyglądał sam pogrom, oto opisy jej i innych osób, które ocalały:

### **Józefa Topolanek:**

„Przez cały ten czas od naszego powrotu, było na Teresinie bardzo spokojnie, ciężko pracowaliśmy z mężem i dziećmi bowiem zboże obrodziło w tym roku wyjątkowo pięknie. Wszystko zwieźliśmy na podwórko i do stodoły, Janciu nawet wasze zboże zwieźliśmy z pola i złożyliśmy w kopę. Bardzo się przy tym napracowaliśmy i gdy już właściwie zakończyliśmy piękne żniwa, można było teraz trochę spocząć. Ale niedługo trwało nasze szczęście, bowiem jednego dnia pod wieczór, mój mąż Jan zobaczył na niebie trzy rakiety i powiedział te straszne słowa: **„Chowajcie się gdzie kto może, bo lada moment zaczną nas mordować! Widziałem trzy rakiety, które wystrzelono nad Tartakiem! To na pewno ich znak na mordowanie tej nocy!”** Tego wieczoru przyszła do nas rodzina Piaseckich z Tartaku, chcieli przenocować, bo bali się zostawać u siebie, też mieli bardzo złe przeczucia, właściwie nigdy do nas nie przechodzili, a tym razem przyszli. Wraz z naszą córką Weroniką spali tej nocy na słomie, która była złożona w stercie na podwórzu. Ja tymczasem schowałam się w naszej piwnicy, która również była na naszym podwórzu. Wraz ze mną ukryli się tam moi synkowie: Aleksander i Józef, siedzieliśmy tam przez całą noc. Tymczasem mój mąż Jasio na początku wlaź na „wyżkę” nad krowami, to był taki mały stryżek i też siedział tam spokojnie do rana.

W nocy usłyszeliśmy dziwny szmer i odgłosy, a moi synkowie tak do mnie powiedzieli: **„Mamo Weronikę zabierają, mamo Weronikę znaleźli!”** Po chwili usłyszeliśmy ludzkie kroki blisko naszej piwnicy, ale siedzieliśmy jeszcze bardziej cicho i nigdzie nie wychodziliśmy. Tak przeszła noc i gdy już świtało, było około 4.00, na dworze robiło się już jasno, mój mąż zszedł ze stryżka i przyszedł do nas do piwnicy, mówiąc: „Tam nie czuję się pewny.” Prosił mnie dalej, abym nasunęła budę naszego psa za nim, bo on zamierza ukryć się w schronie. Więc poszłam i zrobiłam tak jak chciał, a potem znowu skryłam się szybko w piwnicy, niestety Jan i tam nie czuł się bezpieczny, znów wylazł i przyszedł do piwnicy mówiąc: „Józia ja pójdę do naszego ula w sadzie, bo tam jest pies, oni będą strzelać za nim do budy, to i mnie wtedy usieką !” Jak powiedział tak i zrobił, ale po drodze zapomniał dobrze się rozejrzeć, tymczasem drogą już szli banderowcy z bronią. Jak go tylko zobaczyli, zaraz zaczęli go okrążać, tymczasem on zobaczył ich dopiero przy ulu. Natychmiast rzucił się do ucieczki, padł jeden strzał, w tym momencie jeszcze nie wiedzieliśmy, że celny i śmiertelny.

Bardzo się baliśmy, a siedząc w piwnicy, nasłuchiwaliliśmy dalszych odgłosów. Jeden z banderowców podszedł do tej piwnicy, zbił szybkę w oknie i zajrzał do środka. Byłam niemal pewna, że mnie tam zobaczył bowiem właśnie usiłowałam, wyglądać przez to okienko, aby zorientować się, co się dzieje teraz na naszym podwórzu. Ale albo ich oślepiło, albo po prostu bał się zapuszczać w tą ciemną piwnicę, a może....., w każdym razie tylko zaklął siarczyście i odszedł. Z duszą na ramieniu i z modlitwą na ustach siedzieliśmy dalej, z trwogą oczekując dalszego rozwoju wypadków. Około godz. 9.00 usłyszeliśmy na naszym podwórku wołanie dzieci: „Ciotko ! Ciotko !”, bałam się, nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć, czułam się jednak odpowiedzialna i nie mogłam ich tak zostawić. Wyszłam więc na podwórko, a ze mną dzieci, nie zdziwiłam się wcale gdy zobaczyłam małego Witolda Sobolewskiego lat około 8, obwiązanego białą poszwą bowiem krew lała mu się z głowy wciąż mocno. Razem z nim była jego siostra, mała Wiktoria lat około 11. Mój synek Oleśko skoczył gibko do domu, aby wziąć coś z jedzenia, ale skończyło się na tym, że zabrał tylko jeden chleb. Już po chwili chyłkiem wszyscy przekradaliśmy się do pobliskiego lasu na Karczunek, a gdy tam dotarliśmy, zaraz ukryliśmy się w prosie.

Przeżywałam tam wielkie katusze i wielki dramat, bowiem żal mi było Wikcia, ale musiałam przecież ratować pozostałe dzieci, dlatego jak mogłam, tak go przeganiałam. Nie dość bowiem, że widać go było na odległość, to jeszcze na dodatek strasznie jęczał z bólu, a ja w tym wszystkim nie mogłam pomóc. Kto przeżył w życiu coś podobnego, dobrze zrozumie moje ówczesne odczucia i rozdarcie. Przy tym wszystkim sierpniowe słońce przypiekało coraz mocniej, więc i ból płynący ze strasznej rany, stawał się z każdą chwilą, coraz trudniejszy do zniesienia. Bałam się, naprawdę bałam się, że nas zdradzi, a wtedy niechybnie zginiemy wszyscy, ale moje starania nic nie dawały. Witold od nas nie odchodził, bardzo pragnął żyć i instynktownie trzymał się nas, jak ostatniej swojej

szansy, rozumiał że bez nas sobie nie poradzi. Na szczęście jakoś się udało, że nikt nas nie przyuważył i jeszcze podczas dnia, udałam się w stronę polskiej wsi Włodzimierzówka, bowiem dzieci były coraz bardziej głodne. To było stosunkowo niedaleko, od Kohylna tylko 1 km przez moczary i błota, a ponieważ była tam już placówka polskiej samoobrony, zaraz czule się nami zaopiekowali i podali ciepły posiłek. Stan Witolda, był jednak bardzo poważny i natychmiast potrzebował pomocy lekarskiej, dlatego właściwie z marszu zawieźli nas do miasta, a chłopca do szpitala. Teraz jak widzisz jestem tutaj.”

Na następny dzień udałam się do szpitala gdzie leżał Witold, wyglądał bardzo marnie, był niezwykle osłabiony i nieustannie podawali mu leki. Jak się dowiedziałam, lekarze dokładnie obejrżeli jego rany głowy i o zgrozo stwierdzili, że został uderzony w głowę czymś bardzo twardym, prawdopodobnie za każdym razem była to ostra siekiera, aż trzy razy. Na szczęście po pewnym czasie, czuł się już na tyle dobrze, że mógł i chciał mi opowiedzieć wszystko, co wydarzyło się w ich domu, a co widział na własne oczy. Jednego razu wyszliśmy więc przed szpital i tam na świeżym powietrzu, na ławeczce opowiadał mi największą tragedię swojego życia, mówił tak:

### **Witold Sobolewski:**

„Tej nocy spaliśmy wszyscy w swoim domu, gdy już świtało, bardzo raniutko, moja mamusia wstała już, aby robić oporządek i wtedy zobaczyła jak ponad oknem biegną obcy ludzie. Od razu domyśliła się, że to bandycki napad na ich rodzinę i od razu głośno krzyknęła do nas: **„Uciekajcie bo bandyci! Będą nas mordować!!”** Ja i moje rodzeństwo w tym momencie już nie spaliśmy i gdy tylko usłyszeliśmy krzyk naszej mamusi, natychmiast pozrywaliśmy się z łóżek. Mamusia też rzuciła się do ucieczki przez drzwi, ledwie jednak je otworzyła, tam już stał banderowiec i od razu palnął ją siekierą tak mocno, że mamusia po tym ciosie wypadła na dwór na ziemię. Ja uciekałam za moją mamusią, kiedy ona upadła, bandzior od razu palnął w głowę siekierą mnie, też upadłem na podłogę, poprawił mi drugi raz, trzeciego razu już nie pamiętam. Po moim trupie, jak sądził, pobiegł do naszej chałupy i od razu, w pokoju zaczął rąbać siekierą moją starszą siostrę Feliksę lat około 16, a potem moją babcię Klimaszewską lat około 68, ale tego już nie widziałem. Ja tymczasem choć głowa bardzo mnie bolała, a krew się lała, nie utraciłem przytomności zupełnie, ale niemal instynktownie wsunąłem się, tak jak leżałem na ziemi, pod stojące obok łóżko.

W tym samym czasie, gdy bandzior rąbał w pokoju Feliksę, przez drzwi na dwór wyskoczył nasz tatuś z braciszkiem Tadeuszem, ledwie dwu letnim. Za ojcem pobiegła na podwórko, moja młodsza siostra Czesława lat około 4 i chwilę krótką nie było ich. W tym momencie, nie widziałem co się dalej z nimi dzieje, miałem nadzieję, że zdołali uciec. Tylko tyle, że schowałem się pod łóżko, do kuchni wleciała z podwórka moja siostrzyczka Czesława, była cała pokrwawiona, krew lała się gwałtownie z jej malutkiej główki. Widać banderowiec chciał jej siekierą rozrąbać głowę, piszcząc strasznie, wskoczyła na swoje łóżeczko w pokoju. Bandyta nie dawał jednak za wygraną, zaraz za nią wleciał do domu z małym szpadelkiem wojskowym, wziął ją za jedną rękę i tak niósł dziecko na dwór, w tym samym czasie, po drodze, mocno uderzył ją tym szpadelkiem w głowę. Musiał ją co najmniej ogluszyć, bowiem siostra przestała krzyczeć, a on dalej poniósł ją na dwór. Dopiero, gdy banderowiec opuścił z siostrą nasz dom, zrobiło się tak spokojnie i cicho, wtedy jakbym stracił na krótko przytomność, a może wciąż przerażony i zmęczony usnąłem, sam nie wiem.

W każdym razie obudziłem się, gdy usłyszałem znowu kroki na podłodze, popatrzyłem i zobaczyłem moją starszą siostrę Wiktorię lat koło 14. Krzyknąłem na nią, aby mi pomogła, bo czułem, że jestem ciężko ranny. Zaraz też wyczołgałem się spod łóżka, a ona wyszukała w skrzyni białą poszwę z pierzyny i zawiązała mi głowę, bo krew wciąż szła. Zaraz też wyszliśmy z domu i pobiegliśmy do naszej cioci Józefy Topolanek, która mieszkała po sąsiedzku, tuż za miedzą. Tam na podwórku wołaliśmy ciocię, a ona po chwili wyszła do nas z ukrycia, z piwnicy, była przerażona wcale nie mniej niż my, ale przecież była osoba dorosłą, ufaliśmy, że ona wie co teraz trzeba robić. Rozglądając się na wszystkie strony, chwilę z nami rozmawiała, pytała siostrę: „A jak ty się przechowałaś, że nawet nie jesteś ranna ?!” A ona odpowiedziała krótko: „Byłam u pani Buczkowskiej, tam się ukrywałam, a teraz właśnie wróciłam do domu, ale nasze wszystkie pobite pod stertą.” Potem wspólnie uciekliśmy do miasta, a w drodze pomogli nam Polacy z Włodzimierzówki.” Raz wybrałam się do mojej teściowej, na ulicę Piaskową, aby dowiedzieć się

coś o pogromie na Teresinie, tam spotkałam Polkę, panią Buczkowską, która dopiero co właśnie uciekła spod ukraińskiej siekiery. Właśnie wtedy opowiadała mi jak to było, mówiła tak:

### **Pani Buczkowska:**

*„Tej nocy spaliliśmy wszyscy niespokojnie, mój mąż już z wieczora poszedł do stodoły, ale nie wiem czy tam był. Ja spałam w domu ze swoimi dziećmi: z Eugenią, Aleksandrą i Leokadią. Rano wstałam i poszłam wydoić krowę do obory, nagle usłyszałam w wiosce jakieś odgłosy, coś się działo. Wyszłam na podwórko o popatrzyłam na naszą kolonię, zobaczyłam że w naszą stronę idzie dużo ludzi z bronią, poznałam że to Ukraińcy. Od razu wiedziałam, że idą nas mordować, gwałtownie skoczyłam do naszego domu i krzyknęłam tylko: „**Uciekajcie bo biją!**” Zaraz po tych słowach, pędem ukryłam się w stodole, gdzie na wszelki wypadek, miałam już wcześniej przygotowany schowek. Teraz przez szparę w stodole, uważnie obserwowałam nasze podwórko, patrzyłam co będzie działo się dalej. Zobaczyłam jak Ukraińcy wyciągają brutalnie z domu moją mamusię staruszkę oraz moją córeczkę Aleksandrę. Tylko je wyprowadzili, od razu zaczęli je rąbać, mamusia zginęła od pierwszego cięcia, a Olesia poniosła szczególną ofiarę. Gdy bandyta uderzył ją siekierą pierwszy raz, upadła od razu, ale zaraz poderwała się z powrotem, to sadysta ją drugi raz siekierą. Klął przy tym po ukraińsku i bluźnił mówiąc: „**Twirdy Lachi!**” Po drugim ciosie znów zaklął, bo dziecko i to przetrzymało i poderwało się z ziemi. To on ją trzeci raz ciął w głowę, w tym momencie myślałam, że wprost oszaleję z bólu na miejscu, bowiem z domu, nieoczekiwanie wybiegła, druga moja córeczka Eugenia. Zaczęła błagać o życie siostry, klęczała i prosiła: „**Panowie nie bijcie!!**”, ale ledwie wypowiedziała te słowa, a już bandzior palnął ją siekierą w głowę tak mocno, że tym razem poprawiać już nie było trzeba.*

*Tak konały dwie moje córeczki i mamusia. Olesia na moich oczach dogorywała, widziałam i wraz z nią, niosłam jej śmiertelne drgawki. Eugenia z kolei była jeszcze taka młodziutka, a jednak stać ją było na tak szlachetny czyn, jej śmiercią byłam wprost zdruzgotana, sama się sobie dziwię, że nie zwariowałam. To było straszne, tego się wprost nie da opisać, co czułam, czy w ogóle jeszcze coś czułam. Jeśli człowiek może oszaleć od razu, to taka chwila jest temu chyba najbardziej sposobna. W tym momencie nie wiedziałam gdzie jest moja trzecia córeczka i czy w ogóle przeżyła ten pogrom. Długo tak jeszcze siedziałam i jak ogłuszona patrzyłam przez szpary stodoły na ciała moich najbliższych, zalewałam się przy tym serdecznymi łzami i może właśnie one, uratowały moje życie psychiczne. Po pewnym czasie dotarło do mnie, że raczej nikt tu już teraz nie przyjdzie, odważyłam się i wyszłam na podwórko do tych moich SKARBÓW, NAJCZYSTSZĄ KRWIĄ OPLUKANYCH. Policzyłam ciała, było trzy i gdy wciąż zastanawiałam się, gdzie mogą być jeszcze inni. Z domu wyszła moja córeczka Leokadia i Wiktoria Sobolewska, również płacząc podeszły do mnie. Pomimo tak wielkiej tragedii, tym razem niemal szalałam z radości, że chociaż ta jedna mi została.*

*Wiktoria widząc, co się u nas stało, przerażona, o również niepewny los swojej rodziny, szybko się pożegnała i pobięła do swojego domu. A ja wzięłam swoją córeczkę Leokadię i poszliśmy do naszego sołtysa na Teresinie do Ukraińca Środy. Kiedy go zobaczyłam, powiedziałam mu od razu i bez ogródek: „**Zabiliście dzieci, zabijcie i mnie!**” ale sołtys brutalnie mnie przegnał krzyżąc: „Wynoś się! Idź do swego sołtysa Huda!” W tej sytuacji zabrałam Łodzie i poszliśmy razem do polskiej kolonii Mikołajpol, gdzie sołtysiem był Ukrainiec Hud. Mieszkał już w tej części kolonii, która niemal stykała się z dużą wsią ukraińską Gnojno. Kiedy przyszliśmy do tego Ukraińca, zaraz wskazał nam stodołę i tam kazał na siebie czekać. W tym czasie swojej żonie przykazał, aby zaniósła nam coś do zjedzenia i ani w głowie mu było, zadawać nam śmierć. Może się nad nami zlitował, a może należał do tej części Ukraińców, którzy z tym co robili ich bratankowie, nie chcieli mieć nic wspólnego. W każdym razie pozwolił nam przenocować w swojej stodole, a potem wskazał nam drogę do miasta, mówiąc: „Jeśli chcesz, aby cię zabili, to nie wiadomo, którą drogą pójdziesz, czy wogóle dojdiesz do miasta. W każdym razie idźcie z samego rana, aby was ludzie miejscowi, u mnie nie widzieli.” Wzięłam więc córkę i poszliśmy w stronę lasu, trafiłyśmy na Karczunek gdzie rosło proso. Tam natknęłam się na stękającego, pokrwawionego człowieka. Zatrzymałam się, podniosłam jego głowę, oddychał, ale już nie reagował na słowa, tylko charczał, widać było że konał. Popatrzyłam na jego pierś, miał wydartą*

*wielką dziurę po lewej stronie, nad sercem, poznałam że dostał w plecy gdy uciekał. Nie mogłam mu już pomóc w tym momencie, zostawiłam go i sama z córką doszłam do miasta.”*

#### **POGROM NA TARTAKU**

Na Tartaku Kohyleńskim stało cztery domki robotnicze, zamieszkiwały je rodziny polskie, trudniące się pracą w tartaku, należącym podówczas do Żyda o nazwisku Kac. Właściciel mieszkał trochę dalej w lesie w dość obszernym domu. W jednym z czterech domów mieszkał Polak Brzeziński lat około 55, jego żona lat około 58 oraz ich troje dzieci, w tym dwóch synów: Stanisław lat około 24 i Jan lat około 20, niestety obaj byli niepełnosprawni umysłowo. Mieli też starszą siostrę Annę lat 26. Wszyscy oprócz Anny zostali zamordowani przez Ukraińców podczas napadu na tartak, napad miał miejsce, w tym samym czasie co rzeź Teresina. Anna uciekła wraz z mężem Szendrakiem i po wojnie osiedli w Słupsku koło Gdańska. W drugim domku mieszkał Polak Czamara lat około 48 i jego żona lat około 48 oraz ich syn Józef lat około 16, którego Niemcy w 1942 r. zabrali na roboty do Rzeszy. Przeżył koszmar wojny, osiadł na stałe w Szczecinie i tam założył rodzinę. Czamarowie mieli jeszcze dwie córki: Stanisławę lat około 14 i Krystynę lat około 4, wszyscy zginęli podczas bandyckiego napadu na tartak.

W trzecim domku-baraku mieszkał Grzybowski lat około 60, jego żona lat około 55 oraz ich sześcioro dzieci, w tym: Maria, wyszła za mąż za Polaka Jana Świstowskiego, podczas napadu zdołali uciec, unosząc dusze. Szczęśliwie przeżyli wojnę i osiedli w Krasnymstawie. Drugie dziecko Grzybowskich to Władysław lat około 24, ożenił się z Polką we wsi Beheta. Władek został zamordowany w 1943 r. w drodze do domu żony, w każdym razie taka krążyła wśród ludzi pogłoska, a opowiadała mi o tym chyba Stefania Grzybowska, już po wojnie we wsi Cety koło Łodzi. Trzecim dzieckiem był Mikołaj Grzybowski i to on właśnie okazał się bandziorem, bowiem przystał do Ukraińców z lasu. Ci jednak domagali się od niego dowodu wierności dlatego przypuszczam, że wymusili na nim zamordowanie Polaka Walentego Wesołowskiego. Mikołaj jeszcze podczas wojny zmienił nazwisko na Hryb, potem jednak uciekł od Ukraińców i ostatecznie osiadł w Polsce gdzie przez wiele lat był milicjantem w Kamiennej Górze koło Jeleniej Góry. Następne dzieci to Wiera, Józef i Helena, wszyscy zostali na Wołyniu jako Ukraińcy o nazwisku Hryb.

W czwartym domu na tartaku żył Polak Sidorowicz, starszy brat Kazimierza ze Smolarni wraz z żoną Marianną oraz ich dwoje dzieci: Regina lat 10 i Leokadia lat 6. Oni wszyscy zostali okrutnie pomordowani, tylko ojciec przeżył bowiem przebywał właśnie daleko w Rosji. Spotkał go Polak o nazwisku Pieniak w lipcu 1944 r. we wsi ukraińskiej, jak poszukiwał swoich najbliższych. Sidorowicz był w tym czasie żołnierzem frontowym, ponieważ był w pobliżu, chciał odwiedzić żonę i swoje dzieci, ale oczywiście nikogo nie zastał. Pytał więc w Kohylnie w wielu domach, ale nikt nie potrafił udzielić mu informacji, a prawda jest taka, że prawdopodobnie wielu z tych, których pytał, osobiście mordowało mieszkańców Tartaku Kohyleńskiego, w tym jemu najbliższych. W tym samym domku co Sidorowicz, mieszkała rodzina polska Piaseckich. Piasecki miał około 50 lat, a jego żona lat około 55, mieli dwie córeczki: starsza lat około 24 i młodsza Franciszka lat około 19 oraz jednego syna Stanisława, który był z roku 1919. Staszek miał zaledwie 22 lata, gdy Sowieci powołali do swojej armii i od tej pory wszelki śluch po nim zaginął.

Rodzinę Piaseckich znałam dość dobrze, to byli ludzie uczciwi i dobrzy, szczególnie pani Piasecka była kobietą bardzo dobrą i życzliwą. W pierwszych latach mojego małżeństwa nie brakowało trudnych chwil i niespokojnych dni, lubiłam wtedy pójść właśnie do niej i szczerze o swoich problemach porozmawiać. Mieszkaliśmy wtedy na Tartaku. Opowiadałam więc o swoich bólach i rozterkach, a ona miała dla mnie ten jakże drogocenny w takich chwilach czas i zawsze chętnie mnie wysłuchiwała. Ja z kolei szanowałam jej rady, bowiem wyczuwałam, że są dobre i mądre. Dzięki tym wizytom, poznałam też osobiście Franciszkę Piasecką, była odtąd moją bliską koleżanką oraz jej starszą siostrę, która wyszła za mąż za Polaka, jeszcze przed II wojną światową. Wraz z mężem zamieszkali również na Tartaku, ale nieco dalej w głębi lasu. Na Tartaku był jeszcze jeden, duży i piękny dom, zbudowany jeszcze przez Sowieców w 1940 r. i tam mieściło się biuro tartaczne. Kiedy po przyjeździe Niemców w 1941 r. tartak się rozleciał, przez pewien czas mieszkał tam Polak o nazwisku Lisiecki lat około 36 oraz jego żona lat około 35 oraz ich córeczka Danusia lat około 13. Ponieważ wcześniej wyjechali do Włodzimierza Wołyńskiego, z rzezi uratowali się wszyscy, ale czy później przeżyli wojnę i wyjechali szczęśliwie do Polski, tego już nie wiem. Dziś

przypuszczam, że ich pośpieszny wyjazd, był spowodowany po części dobrą radą Ukrainca z Kohylna. Razu pewnego przyszedł na Tartak i powiedział bardzo wymownie do Lisieckiego: **„Lisiecki wtekajcie, nedobrocho coś się dzieje!”** Słowa te słyszałam osobiście bowiem stałam właśnie, tuż obok ze swoim dzieckiem. I Lisiecki rzeczywiście uciekł zaraz za tydzień, to było niedługo po wejściu Niemców na te tereny w 1941 r. Warto dodać, że ten ludzki Ukrainiec miał jedynego syna, który wraz z innymi Ukraincami przyjechał do byłych sowieckich koszar, gdzie pozostało bardzo dużo porzuconej amunicji, całe składy amunicji. Było ich czterech, ładowali wszystko na wóz, podczas tych prac nastąpił potężny wybuch, zginął jeden z pracujących, właśnie syn tego Ukrainca. Po wyjeździe Lisieckiego dom zajął Polak Jan Romanowski, który przyjechał z Warszawy i tam właśnie się ukrywał, wysyłając od czasu do czasu listy do swoich znajomych i rodziny. Ponieważ podawał się za lekarza, Ukraińcy zabrali go do wsi Turia gdzie miał leczyć ich partyzantów. Po wojnie dowiedziałam się od Polki o nazwisku Sobiepan, która została po wojnie we wsi Turia, a którą spotkałam zupełnie przypadkowo w Nowowołyńsku, że Ukraińcy wcale Romanowskiego nie rozpieszczali, ale od razu bestialsko zamordowali.

#### JAK HAWRYŁKO PODAŁ WODY SĄSIADOWI

W domu, który zajmował Romanowski, mieszkała także rodzina Wesołowskich, w tym Walenty Wesołowski i jego żona Zofia z domu Ryś oraz ich dzieci Lucyna lat około 14, Halina lat około 10, Walentyna lat około 5 i Aleksandra lat około 7. Razem z nimi mieszkała babcia Antonina Ryś lat około 67, niestety wszyscy zginęli podczas tego samego napadu. Pogrom przeżyła tylko Zofia i jej najstarsza córka Lucyna, które opowiadały mi osobiście, co przeżyły, mówiły tak: *„Tego dnia, wcześniej rano, wydoiłam krowy i gotowałam mleko, właśnie wtedy przyleciał do nas Józef Grzybowski i powiedział: „Panie Wesołowski niech pan idzie, bo przywieźli Adolka Buczko rannego i trzeba mu zrobić przewiązkę.” Mój mąż Walek poleciał tam biegiem, a ja pobiegłam zaraz za nim, coś mnie wtedy tknęło, popatrzyłam przez szparę w płocie tartaku, coś nie dawało mi spokoju i chciałam wiedzieć, co tam się dzieje. Zobaczyłam, że mój mąż stoi, a Mikołaj Grzybowski jakby go czymś dotknął w brzuch, jeszcze widziałam, jak cofał od mojego męża rękę, a Walek od razu upadł na ziemię i już się więcej nie podniósł. Byłam przekonana, że go właśnie zamordowali i rzuciłam się do panicznej ucieczki, biegnąc obok naszego domu, zobaczyłam na schodach moją najstarszą córkę Lucynę jak schodziła na dół, zdążyłam jeszcze krzyknąć: **„Uciekajcie, uciekajcie bo mordują!”** Lucynka pobiegła za mną, a reszta została w domu i od pory wszelki ślad po nich zaginął. Do dziś nie wiadomo, gdzie spoczywają ich doczesne szczątki, można się tylko domyślać, że gdzieś w obrębie dawnego tartaku.*

*Tymczasem ja i moja córka schowałyśmy się za tartakiem w czystym polu, gdzie była koczowana Hreczka, gdy ukryłam tam dziecko, sama wróciłam w pobliże tartaku i zatrzymałam się w parku pałacowym Kaca. Tam wdrapałam się na drzewo i uważnie obserwowałam najbliższą okolicę, zobaczyłam Polaka Franciszka Zwolanina, który miał swój dom niedaleko pałacu. Uderzyło mnie, że jest cały pokrwawiony, szedł chwiejnym krokiem, wszystko wskazywało na to, że jest poważnie ranny. Kiedy po latach analizowałam tamte wydarzenia, doszłam do wniosku, że Franek został uprowadzony przez Ukraińców podczas napadu na Tartak i wraz z innymi wrzucony do studni. Potem oprawcy wrzucili do niej jeszcze granaty, które miały dopełnić reszty spustoszenia, tym razem jednak, niemal cudownie, ocalał jeden z nieszczęśników i właśnie się zbliżał. Niestety nie mogłam na niego zawołać, bowiem dojrzałam niedaleko Ukrainca o nazwisku Hawryłko, który właśnie ładował gnój na wóz w swoim gospodarstwie. Mieszkał blisko rannego Franka, właściwie był jego sąsiadem, dobrym znajomym, a nawet osobistym przyjacielem. Franciszek widać zaufał im i szukał u nich, w tym swoim trudnym położeniu, współczucia i pomocy, dlatego podszedł do Ukrainki, która w swoim ogrodzie, luskala fasolę na obiad. To była żona Hawryłko Krzywoszyja, takie miał potoczne przezwisko wśród miejscowych ludzi, gdyż rzeczywiście jego szyja była krzywa. Franek poprosił Ukrainkę o wodę widać, bowiem ona zaraz krzyknęła do męża żywo tak: **„Franko хочzit wody!”** A on zaraz odpowiedział: **„Czekaj, czekaj, ja mu dam wody!”** I gdy Franek czekał na niego, Ukrainiec podszedł do niego z widłami i bez jednego słowa, przebił mu brzuch widłami. Nieszczęsny Franciszek obsunął się na ziemię, doprawdy do dziś niekiedy się zastanawiam: dlaczego nie uciekał, skoro widział, że Ukrainiec idzie do niego z widłami. Może już nie miał siły w wyniku odniesionych ran i upływu krwi, może pod wpływem tego*

co się działo, stracił nadzieję w sens dalszego uciekania i w ogóle w sens dalszej walki o życie. Najpewniej jednak, ufał staremu przyjacielowi i nawet nie dopuszczał myśli, że ten tak haniebnie przebiję go na wylot. Żona Hawryłko, widząc zbrodnię swojego męża, zabrała fasolę i wróciła do domu, a ja przerażona tym co zobaczyłam, szybko zeszłam z drzewa i wróciłam niepostrzeżenie do mojej córki. Jedno wiedziałam już na pewno, nie wolno mi ufać żadnemu Ukraińcowi, nawet największemu przyjacielowi. Wkrótce do tego strachu i przygniatającego nas uczucia osaczenia dołączył głód, który nagle mocno zaczął dawać się we znaki. Dlatego właśnie postanowiliśmy, że będziemy uciekać do Włodzimierza, a gdy już znalazłyśmy się w samym mieście, zatrzymałyśmy się u naszej cioci Polki Antoniny Zubrzyckiej.”

Kawałek dalej od Wesołowskich, już właściwie poza tartakiem, w Lasku Dębowym, przy drodze do Teresina, stał jeszcze jeden drewniany domek. Tam również mieszkały dwie rodziny polskie: Franciszek Pieczonka i jego żona Józefa z domu Roch oraz ich troje dzieci: Danusia, Eugeniusz i Marian. Razem z Józją pracowałam dla Żyda Kaca w ogrodnictwie, była dobrą dziewczyną i naprawdę lubiłyśmy się. Niekiedy przyjeżdżała do niej młodsza siostra Anastazja, mieszkała jeszcze na Zastawiu w Kohylni. Józia lubiła pracować, robiła co do niej należało bardzo rzetelnie, czy ktoś widział czy nie. Razem z nimi mieszkała jeszcze rodzina najstarszej córki Piaseckich, która miała pięcioro dzieci. Słyszałam, że oni przeżyli wszyscy i wyjechali do Polski, gdzie osiedli w Kopyłowie koło Horodła. I rzeczywiście gdy po latach, odwiedziłam Annę Roch z domu Rusiecka, ona właśnie opowiedziała mi, że ta rodzina przeżyła mordy na Wołyniu.

#### LOS RODZINY PIASECKICH

Moja teściowa Józefa Topolanek, opowiedziała mi również, jak zaginęła bez wieści rodzina polska Piaseckich z Tartaku. Z tego, co mówiła można domyślać się, że wszyscy zostali brutalnie zamordowani przez Ukraińców, oto jej świadectwo: „*Na tę noc przyszła do nas do Teresina, rodzina Piaseckich z Tartaku Kohyleńskiego i zaczęli się zwierzać, że Ukraińcy jakoś tak dziwnie się zachowują i dlatego, chcą zostać u nas na noc, mówili: „Ukraińcy tak biegają, tak się kręcą!”* Więc zostali u nas i nocowali z naszą córką Weroniką na stercie jeszcze nie wymłóconego zboża, która stała na naszym podwórku. A tego roku, był niezwykle piękny urodzaj, ludzie głośno sobie opowiadali nawzajem, że jeszcze takich kłosów nikt nie widział, nic więc dziwnego, że wiele zboża nie zmieściło się do stodoły. Już nad samym ranem, gdy my siedzieliśmy w naszej piwnicy pod naszym domem, nagle usłyszałam trzy wystrzały, a potem już tylko jakieś dziwne szmery i odgłosy. Gdy się w nie wsłuchałam, to poznałam, że chyba Ukraińcy znaleźli moją Weronikę i Piaseckich i właśnie ściągają ich ze sterty. Powiedziałam wtedy do moich dzieci: „**Chyba znaleźli tamtych na stercie!**” Nie słyszałam jednak żadnych krzyków, ani pisków, czy też innych odgłosów, które mogłyby świadczyć, że pomordowano ich na miejscu. Tym bardziej, że już chwilę później, ponownie nastąpiła głęboka cisza. Dopiero po pewnym czasie, usłyszałam na naszym podwórku wołanie dzieci rodzonej siostry: Wiktorii i Witolda Sobolewskich. Zaraz wyszłam z piwnicy i zobaczyłam, że Witold jest cały pokrwawiony i ma poważnie rozrąbaną siekierą głowę. Nawet z nimi wiele nie rozmawiałam, ale szybko zebrałam wszystkie dzieci i zaraz, w te pędy uciekliśmy do pobliskiego lasu.

Zatrzymaliśmy się w miejscu gdzie był wyrąb drzewa, było tam posiane i jeszcze nie zebrane proso. Tam się schowaliśmy, w pewnym momencie mój syn Aleksander podniósł głowę i zobaczył na koniu Ukraińca, który właśnie patrolował ten teren, płacząc wyjąkał: „**Mamo on mnie widział!**” Ale na szczęście dla nas Ukrainiec do nas nie podjechał, albo nie zauważył, albo trafiliśmy na takiego, który zachował jeszcze resztki litości w sercu. Jeszcze tego samego dnia, po różnych perypetiach, z duszą na ramieniu, dotarliśmy wreszcie do Włodzimierzówki, a potem do miasta. O tych sprawach i naszych dalszych perypetiach, już dokładnie pisałam wcześniej.

Jest mi wiadomo, że także spokrewniona z nami duża rodzina Rochów na Zastawiu w Kohylni, poniosła duże straty podczas tych Kainowych Dni. Naturalnie nie byłam naocznym świadkiem tamtych wydarzeń, ale o Ich śmierci słyszałam tak: „*Tej nocy, kiedy był napad Ukraińców na Zastawie, Tadeusz Roch i jego stryjeczny brat Mieczysław nocowali w oczerecie nad stawem, który był bardzo blisko domu. W tym samym czasie, Matka Tadeusza wraz z córką Zosią ukrywały się w małej przybudówce, przyklejonej do stodoły, gdzie było dużo słomy. Spały tam spokojnie do rana, kiedy to znaleźli je ukraińscy bandyci i siłą wyciągnęli z kryjówek. Potem pod bronią, gonili je łąką w stronę domu Bolka i Michała Rocha, była tam taka ścieżka poza domem.*

*Zosia miała iść pierwsza, druga Amelia, dopiero za nimi obaj oprawcy z siekierami w rękach. W pewnym momencie, jeden z bandytów minął starszą matkę i pierwszą rąbnął siekierą w głowę Zosię, a gdy ta upadła zaraz zarąbali też matkę. Widział to wszystko Tadeusz i Mietek z ukrycia! Gdy oprawcy zakończyli swoje krwawe dzieło i odeszli, obaj przerażeni i zdruzgotani młodzieńcy, zbożami przedostali do Włodzimierza i niemal natychmiast, obaj wstąpili do polskiej partyzantki na Bielinie!” Taką właśnie wersję wydarzeń słyszałam, ale pragnę podkreślić, że nie jestem pewna, co do jej prawdziwości, bowiem słyszałam to od jakiś ludzi i dziś nie mogę, już nawet spamiętać od kogo.*

## **PROWADŹ MARIO, PROWADŹ NAS MĘCZENNIKÓW WOŁYNIA**

*„Matko, która nas znasz, z dziećmi twymi bądź,  
na drogach nam nadzieją świeć,  
z synem Twym z nami idź”*

Stanisław Syzduł był Polakiem, mieszkał już od pokoleń w kolonii polskiej Boża Wola, która przylegała do Swojczowa, a drugim końcem łączyła z polską wsią Władysławówka. Dom Staszka stał około 500 m tylko od naszego Kościoła, położonego na wzgórku. Do dziś dobrze pamiętam jego rodziców, to byli ludzie dobrzy i wierzący, często widywałam ich w niedzielę i święta w naszym Kościele. Choć nigdy nie byłam u nich w domu, znałam jednak dobrze Staszka, który często przychodził do nas, do mojej starszej siostry Łodzi, do której się wyraźnie zalecał. To był naprawdę dobry chłopak, porządnie wychowany, o miłym usposobieniu, koleżeński, nic więc dziwnego, że miałam i nadal mam o nim jak najlepsze zdanie. Podobnie jego rodzeństwo: młodszy brat Leonard oraz siostry Janina i Zofia, też byli dziećmi dobrymi, ułożonymi i mogli być właściwym przykładem dla nas wszystkich. W tych strasznych dniach, także rodzina Syzdułów, wiele razy zastanawiała się nad możliwością opuszczenia swoich rodzinnych stron, przynajmniej na razie. Póki co, w lęku i coraz większym zastraszeniu trwali na swojej ojcowiznie. Nawet już po wymordowaniu Dominopola, gdy inni uciekali całymi rodzinami do miasta, oni wciąż mieli nadzieję na lepszą przyszłość, na przetrwanie tego koszmaru. W dzień życie w nieustannym lęku, a po nocach wielki strach przed ukraińskimi bandziorami. I to jakże bolesne, upokarzające się chowanie po przeróżnych kryjówkach, jak zaszczute zwierzęta przed wprawnym myśliwym i jego psiarnią. Człowiek patrzył na niebo, patrzył na zegarek i już wiedział, że nadchodzi noc dosłownie i w przenośni, że idzie wielki krokami zło, straszne godziny leku i udręki, a może nawet gwałtowna śmierć, pośród hańby i barbarzyńskich metod znęcania się nad ofiarami. Tego jeszcze i dziś nie da się wprost opisać, ileż to kosztowało ich i nas wszystkich zdrowia psychicznego i fizycznego, jeden Pan Bóg tylko na niebie wie i niech on tylko to mierzy, człowiek w tych rachunkach na pewno się pomyli.

Na razie rodzina Syzdułów z Bożą pomocą jakoś to wszystko znosiła, jednak gdy niebezpieczeństwo stawało się, coraz bardziej realne, rodzice i rodzeństwo Staszka, wszyscy potajemnie uciekli do Włodzimierza. Na ojcowiznie został jedynie Staszek z żoną i dwójką dzieci. Dobrze znam tę historię od mojej siostry Leokadii oraz tatusia Jana, których Staszek spotkał potem przed Kościołem, na ulicy Farnej we Włodzimierzu, opowiadając z przejęciem tak: *„Kiedy mój ojciec i moja macocha oraz rodzeństwo, wszyscy uciekli do Włodzimierza, w domu zostałem tylko ja z żoną Zofią oraz dwójką naszych dzieci, przy czym jedno miało niecały roczek. Szczerze mówiąc cieszyłem się, że już ich nie ma, teraz bowiem mogłem objąć we władanie całą naszą gospodarkę, całą ojcowiznę. Wcale nie myślałem uciekać z domu, tym bardziej po tych zmianach. Jednego dnia, wczesnym rankiem, wyszedłem z domu po mleko dla moich dzieci, właściwie wciąż jednak nurtowały mnie niespokojne myśli: „Co robić, zostać czy uciekać, a nóż nas tu wszystkich Ukraińcy wymordują”. Zarazem po głowie wciąż tłukły mi się słowa żony: „No gdzież na głód pójdziemy z małymi dziećmi?” Naprawdę nie wiedziałem co robić!*

*W takich właśnie rozterkach, udrękach duchowych, popatrzyłem przez przypadek na Kościół, bowiem rozglądałem się na wszystkie strony, czy aby mogę swobodnie przejść po mleko. W tych czasach, trzeba już było bowiem zachować najwyższą ostrożność, inaczej groziła śmierć i to w najokrutniejszej formie, ukraińscy bandyci nie przebierali w środkach. I właśnie wtedy zobaczyłem, że na jednej ze starych, wiekowych lip, które otaczały nasz Kościół w Swojczowie, korona gałęzi została przysłonięta mgłą gęstą. A w tej mgle, ukazał się mi się cudowny, nasz ukochany Obraz*

*Matki Bożej Swojczowskiej. Maryja trzymała na rączkach Pana Jezusa i była dokładnie taka sama jak na Obrazie w Kościele, z jednym małym, ale jakże ważnym wyjątkiem: jej prawa ręka, zamiast spokojnie spoczywać na ręce lewej, jak to jest zawsze na Obrazie, była wyprostowana i wyciągnięta w kierunku zachodnim, wyraźnie wskazywała na miasto Włodzimierz Wołyński. Byłem tym cudownym spotkaniem, tak zaskoczony, że właściwie nie wiedziałem, czy to prawda, rzeczywisty cud, czy też może mi się coś, tak dziwnego przewidziało. Dlatego zaraz wróciłem do naszej kryjówki i zawołałem na swoją żonę Zofię, aby natychmiast ze mną poszła, gdy się zjawiała, poprowadziłem ją w to miejsce i mówię do niej: „Co widzisz?” A ona niemal natychmiast wykrzyknęła z wielkim zdziwieniem: „O Matka Boska! I ma wyciągniętą rękę!” A ja zaraz widząc, że mi się nie przewidziało ale, że to nieprawdopodobna rzeczywistość, powiedziałem do niej zdecydowanie: „**Wskazuje na Włodzimierz, jednak widać musimy uciekać**”. Żona jednak, jak to kobieta i matka, tak mi zaczyna zawodzić: „A co my tam będziemy jeść i jak my tam przeżyjemy?!” Ja jednak wiele tym biadoleniem, już się nie przejmowałem. Wziąłem jedno dziecko, a żona drugie i zaraz, jeszcze podczas dnia, przez błota i Kohyleński Las, przedostaliśmy się do miasta, cali i zdrowi.”*

Pamiętam, że gdy nasz tatuś nam to wszystko opowiadał, to tak się przy tym głośno zastanawiał: „Czy to może być prawda, czy to może być prawda?” Ale zaraz znacząco dodał: „**Stach to człowiek uczciwy, wiem o nim, że nie potrafi kłamać, widać z tego, że rzeczywiście miał widzenie, że to prawdziwy cud!!**” W tym czasie, byłam już mężatką z dzieckiem na ręku, a więc osobą dojrzałą, dlatego i ja w duchu zastanawiałam się nad tym wszystkim, a myślałam przy tym tak: „*Jednak widać mieli jakieś widziadło, widać był to cud, to przecież tak ubodzy ludzie i tak przy tym dobrzy. Widać Bóg ulitował się nad nimi i wskazując im drogę, wyrwał ich z opresji, niemal z pewnej śmierci od zdradzieckiego noża.*” Możliwe, że Staszek Syzduł jeszcze komuś o tym opowiadał, choć niekoniecznie, w każdym razie, już nigdy więcej, nie spotkałam jego samego i jego rodziny również. Dlatego nie wiem właściwie, czy przeżyli II wojnę światową i czy później wyjechali do Polski.

#### KONIEC SWOJCZOWA

W Swojczowie, bardzo blisko naszej szkoły mieszkała Polka Michalina Krzysztof z domu Rak. Ze swoim mężem, chyba Antonim, miała trzy dziewczynki, najstarsza miała 8 lat, a najmniejsza 8 miesięcy. Rodzina Krzysztofów należała do tej grupy, która do samego końca pozostała w Swojczowie, aż do tragicznej nocy, podczas której Ukraińcy wymordowali resztki naszej społeczności. Znam tę historię, bowiem wiele razy osobiście słyszałam ją, od mojej mamusi jeszcze podczas wojny. Nasza mama wiele razy pomagała Michalinie, a ona wtedy opowiadała jej swoją osobistą tragedię życiową, mówiła tak: „*Tej nocy kiedy był napad Ukraińców na Swojczów, mojego męża nie było w domu, gdzieś się jak zwykle ukrywał. Byłam tylko ja z dziećmi, spaliśmy w swoim domu. Nic nie słyszałam tej nocy, żadnych wrzasków, żadnych pisków, czy wystrzałów. Spokojnie wstałam z łóżka i poszłam do naszej obory krowy wydoić.*”

*Był bardzo wczesny ranek, gdy już zaczęłam pracę, wtedy dopiero usłyszałam dziwny szum, jakieś wrzaski i krzyki, ktoś trząsał drzwiami. O tej godzinie, było to co najmniej niepokojące, wyjrzałam na dwór i od razu zobaczyłam czterech Ukraińców. Dwóch z nich stało na podwórku i uważnie rozglądali się na wszystkie strony, tymczasem pozostali dwaj szybko wbiegli do mojego domu, gdzie zostały nasze kochane dzieci. W tym momencie nie miałam wątpliwości, że przyszli nas pomordować i natychmiast ukryłam się na stryszku obory w sianie. Straciłam nadzieję, że moje dzieci jeszcze żyją, czekałam cała w lęku, aż do nocy, potem zamierzałam przedostać się do miasta. Jednocześnie obserwowałam, co się dzieje przed naszym domem, na szczęście w czas zauważyłam, że dwóch Ukraińców nie tylko, że nie odeszli, ale zaczęli się w obrębie budynków. Widać było, że czekali, że ktoś jeszcze przyjdzie po dzieci, a wtedy zapewne spotkał by go los wielu innych, po których wszelki słuch zaginął. Widząc, co się dzieje, gdy tylko zapadły prawdziwe ciemności, szczęśliwie niezauważona, z duszą na ramieniu, uciekałam przez błota kohyleńskie do miasta.” W tych dniach ja i mamusia, udałyśmy się na Mszę świętą do Kościoła, modliłyśmy się jak zwykle, gdy nagle ktoś strasznie zaczął krzyczeć do Matki Bożej. Wtedy po raz pierwszy spotkałyśmy nieszczęsną Michalinę, szybko zorientowałyśmy się, że to jakaś kobieta, zapewne Polka, która stoi na środku Kościoła i krzyczy przy tym głośno tak: „**Matko Boża czegoś mnie pokarała, moje dziecięta tam zostały, Matko Boża ratuj je i zwróć mi je, Matko Boża wysłuchaj mnie, nie opuszczaj nas!!**” Przy czym to nie była jakaś tam trochę głośna modlitwa, tylko prawdziwy*

„kobiocy” wrzask, krzyk, lament i płacz, wszystko razem. Scena ta powtarzała się niemal codziennie, tak że wszystkim obecnym, serca się krajały, gdy to słyszeliśmy, a co wrażliwszy człowiek płakał żywymi łzami. Jednego razu, nawet ksiądz Stanisław Kobylecki widać, też bardzo przejęty tym bólem i cierpieniem rozporządził, aby ją wyprowadzić z Kosciola, bowiem nie mógł dalej sprawować ofiary Mszy Świętej. Ale pomimo nawet tak szaleńczej rozpaczki ks. Stanisław nie odepchnął jej, ale miłosiernie przygarnął i przez cały miesiąc, żywił na swojej plebani. W tym czasie wiele osób starało się jej pomóc, ludzie dobrze jej radzili, aby się uspokoiła, aby nie traciła nadziei, skoro jest jeszcze niewielka szansa. Także moja mamusia Zofia, wiele razy z nią rozmawiała i na wszystkie strony, usiłowała wyperswadować jej skłonność do niepoohamowanej rozpaczki.

Po jakimś czasie, nieszczęsna matka, jakimś cudem dowiedziała się, że jej dzieci rzeczywiście jeszcze żyją, nawet przyszła do mojej mamy z tą radosną nowiną i razem naradzały się, co w takiej sytuacji uczynić. Mama radziła, aby w tej sytuacji odrzucić lęk, zaufać w pełni Opatrzności Bożej i wszelkimi możliwymi sposobami ratować biedne dziecięta. W końcu postanowiły, że Michalina uda się potajemnie do Swojczowa i spróbuje wykraść swoje dzieci Ukraińcom, którzy już podobno zdecydowali, że wychowają je na dzieci ukraińskie. I rzeczywiście Michalinka wybrała się do Swojczowa, odnalazła swoje dzieci w swoim własnym domu, a następnie wszyscy razem potajemnie opuścili wieś, uciekając w czwórkę do miasta. Swoje przeżycia opowiadała potem w naszym domu – magazynie tak: *„Gdy już uciekałam z dziećmi i byliśmy tak blisko upragnionej wolności, noc i strach tak mnie skołowały, że zupełnie straciłam orientację, gdzie się znajduję! Pomimo rozpaczliwych prób odnalezienia się w terenie, wciąż nie mogłam odnaleźć właściwej drogi do miasta, a tymczasem cenne godziny uciekały nam gwałtownie i nieubłaganie.*

*W końcu zaczął robić się dzień, z każdą chwilą nasze położenie, robiło się coraz bardziej tragiczne. Na domiar złego, pierwsi Ukraińcy poczęli wypędzać krowy do lasu na pastwiska. Niestety jeden z nich zauważył moje biedne dziecięta, natychmiast rzuciliśmy się do panicznej ucieczki, aby tylko dalej od tego miejsca. Ukrainiec okazał się jednak zawziętym bandytą, dosiadł bowiem konia i popędził w las za nami, a mając tak znaczną przewagę, szybko nas dogonił. Z miejsca zaczął nas brutalnie wyzywać, krzycząc: „**Wy Lachie prklatyje! Wy Lachie prklatyje!**” Tak wobec nas w głos bluźnił, wyraźnie też zamierzał się z miejsca stratować nas końskimi kopytami, na szczęście w tym przypadku zwierzęcy instynkt, okazał się być większy niż ludzki, zdegenerowany rozum, bowiem jego koń nie chciał na nas nastąpić. Byłam tym wszystkim przerażona, dzieci płakały i piszczały w głos, a on wciąż z konia wydierał się na nas. To było straszne, potworne, tego wprost nie da się wyrazić słowami, co czuje człowiek w takim momencie. Kiedy porządnie się na nas wydarł, chyba się trochę zdążył przy tym zmęczyć, bowiem nakazał nam iść w stronę wioski. Tymczasem on w krok w krok postępował za nami i starając się co chwilę podjeżdżać nas od tyłu, zadawał ból końskimi kopytami. Przy czym cały czas klął nas i strasznie pomstował na nas, ta droga to był jeden z najcięższych Krzyży jakie poniosłam w swoim życiu. Tak przyszliśmy na gospodarstwo Polaka o nazwisku Buczko, tam rezun zamknął nas w domowej piwnicy. Gdy tylko zostaliśmy sami w tym lochu, moja najstarsza córeczka, tak do mnie przemówiła: „**Mamusiu po co Ty po nas przychodziła, Ukraińcy już nam powiedzieli, że nas w Cerkwii pochrzczą i my będziemy żyć pośród nich. Tak my by przeżyli i po wojnie, Ty byś po nas przyszła!**” Mimo wszystko, nie traciłam głowy i nadziei, choć zdawałam sobie sprawę, że nasze godziny są już właściwie policzone. Wtedy zobaczyłam, że jest tam małe okienko, chciałam dalej próbować, ale brakowało sił, ogarniało mnie też zniechęcenie, aby walczyć dalej. Wtedy nieoczekiwanie z pomocą przyszła mi moja największa córeczka, to małe dziecko zdołało usunąć kratę w oknie i mówi do mnie: „**Mamo wylaż!**” Jakby ponownie siły we mnie wstąpiły i skoczyłam żywo do okna, usiłowałam się wydostać, Niestety drut kolczasty, który tam był zaczął się o moje rzeczy, tak że skutecznie uniemożliwiał mi wyjście. W takiej sytuacji zrezygnowana, zsunęłam się z powrotem do piwnicy, tymczasem moja mądra córeczka mówi do mnie tak: „**Zrzuć mamu ubranie wyjdiesz nago, a ja twoje ubranie przerzucę, o nas się nie bój: **Bo nas Ukraińcy pochrzczą w Cerkwii i my będziemy żyli!****” W tej sytuacji, posłuchałam rozumnej rady dziecka i stosunkowo szybko przedostałam się na zewnątrz, Niestety zaskrzypiały przy tym nieco druty i gdy tylko stanęłam na ziemi, wyczuły to psy i zaczęły mocno ujadać. Wiedziałam, że jeśli teraz nie ucieknę, to*

zginę na miejscu. Skoczyłam naga za żywopłot, a potem z całych sił dalej na pole i w bruznę. Rozpaczliwie czołgałam się w stronę pobliskiego strumyczka, podświadomie czułam, że to moja szansa i nadzieja. W końcu dotarłam, przeszłam rów wypełniony wodą i dopiero wtedy przestały szczekać psy, chyba Ukraińcy zrezygnowali z dalszych poszukiwań.

Udało mi się dzięki Opiece Bożej i bardzo ciemnej nocy, inaczej nie miałabym właściwie szans. Podczołgałam się do domu znajomej mi Ukrainki, która nazywała się Kostia Potap. Chociaż znajdowałam się właściwie w środku samej wsi, na wysokości naszej szkoły, poczęłam głośno wołać do okna: „Kostiu otwórz, bo ja goła, daj mi jakie ubranie!” Na szczęście, po chwili skrzyły drzwi i Kostia podała mi ubranie, mówiąc: „**Cicho bądź, bo u mnie w stodole jest właśnie cała banda, właśnie wrócili z Wandywoli i teraz dzielą się łupami!**” Kierując się zapewne starą i sprawdzoną dewizą, że najciemniej jest pod latarnią, zaprowadziła mnie zaraz do tej samej stodoly, przybudówki, która była niejako doklejona i tam mnie ukryła. Tam mogłam się do woli nasłuchiwać, jak radośnie popijali, jak wesoło rajcowali, czyniąc przy tym nieopisany harmider. Paradoksalnie, właśnie tego hałasu, teraz potrzebowałam najbardziej, gdyż począł męczyć mnie kaszel, nie mogli go jednak usłyszeć, gdyż chwilami nie słyszeli nawet siebie. Rano już ich nie było, ja tymczasem siedziałam w ukryciu, aż do następnej nocy i byłam coraz bardziej głodna. Na szczęście, Kostia okazała się być człowiekiem i nie zapomniała o mnie, ale ostrożnie przyniosła mi coś do zjedzenia. Gdy się trochę posiliłam, a na dworze znów zrobiło się ciemno, zaraz uciekłam przez kohyleńskie błota do miasta.”

Gdy Michalinka przeżywała swoją tragedię osobistą, nasza mamusia nieustannie starała się dowiedzieć, czy aby już wróciła szczęśliwie ze Swojczowa, czy może ktoś ich gdzieś widział i coś o nich wie. W końcu, pewnego dnia ponownie spotkały się w Kościele farnym, ale tym razem Michalinka zachowywała się poważnie i dość spokojnie. Rozmowę rozpoczęła mamusia i wtedy właśnie usłyszała po raz pierwszy, całą tę wręcz nieprawdopodobną historię, tymczasem Michalinka opowiadała dalej: „**Właśnie wróciłam ze Swojczowa! Pierwsze swoje kroki w mieście, skierowałam do prawosławnego archireja (prawosławnego biskupa), gdzie urządziłam prawdziwą awanturę. Otwarcie oskarżyłam księży prawosławnych o odpowiedzialność za straszną rzeź, dokonaną na ludności polskiej i naszych rodzinach, podczas ostatnich napadów. Krzyczałam przy tym i klęłam go następującymi słowami: „Ty draniu święciłeś noże, którymi później Ukraińcy mordowali bezlitośnie, całe nasze rodziny! Urządzili nam prawdziwą rzeź po wsiach. Co z ciebie za kapłan, co z ciebie za święty?”** Tak mu powiedziałam dobrze do słuchu, tymczasem on wezwał policję i kazał mnie wyprowadzić, twierdząc że postradałam zdrowe zmysły. A ja, po prostu jestem wściekła i pragnęłam, chociaż trochę tej żółci, która dosłownie zalewa mi serce, umysł i oczy, przelać na niego. Niech poczuje, chociaż w małej części to, czego doświadczają teraz tysiące umęczonych rodzin wołyńskich. Po chwili, już nieco spokojniej dodała: „Moje dzieci rzeczywiście żyją, są całe i zdrowe, tylko wyglądają marnie, mocno wygłodzone. Chcą jednak żyć i jest realna szansa, że przeżyją ten koszmar, bowiem Ukraińcy zamierzają je ochrzcić i przyjąć jako swoje.”

#### SADYSTA „BOHATER UPA” MATRYFAN

W 1966 r. miałam ciężką operację, z której na szczęście wyszłam zdrowa. Już rok później pojechałam po raz pierwszy od zakończenia II wojny światowej do ZSRR, do Nowowołyńska. Tam bowiem mieszkała moja kuzynka, Polka Maria Spikien z domu Kalinowska. To ona właśnie wysłała mi i mojemu mężowi zaproszenia, chętnie skorzystałam, choć muszę przyznać, że nie było mi łatwo tam jechać. Jeszcze w Polsce, pomimo że upłynęło tyle lat, naprawdę bałam się, przecież na tej ziemi wylało się takie morze niewinnej krwi. Miałam całkowitą świadomość, że wielu sprawców tego barbarzyństwa żyje tam do dziś, owszem rozumiałam, że w obecnych warunkach, raczej nikt mnie siekierą nie po głaska, ale coś w tym jest, że całkowicie strachu z serca usunąć się nie da. Pozostaje, w takiej sytuacji, tylko żywe staranie, aby rozum panował na tym strachem, nad tymi piekielnie bolesnymi zranieniami. Jakże charakterystyczna była postawa mojego męża Franciszka, choć korzeniami jest także z Wołynia i choć również stracił podczas rzezi wielu przyjaciół, bliskich i znajomych, a nawet rodzonego brata Jana oraz siostrę Weronikę, jednak zupełnie inaczej przeżywał to niż ja. Rzecz w tym, że mąż podczas rzezi, był nieobecny na Wołyniu i znajdował się całe 4 lata daleko w Rosji. Dlatego nie czuł strachu i nie odczuwał tej tragedii tak

głęboko, jak ja to wciąż odbierałam. **Każdy las, każda znajoma miejscowość, jakby rozsadzały mi serce, a łzy same napływały mi do oczu, dławiło mnie w gardle i czułam tylko ból, ból i ból.**

Te myśli tłoczyły mi się do głowy jedna za drugą, zdawało mi się, że niemal z każdej strony dostrzegam moich przyjaciół i bliskich oraz goniących za nimi, z pianą na ustach Ukraińców i z pobłyskującymi w słońcu siekierami. I choć minęło tyle lat, to wszystko wciąż stało mi żywo przed oczyma, a nie mogłam tego obrazu usunąć z serca, choćbym nawet bardzo się starała. Poza tym, ani wtedy, ani nawet teraz nie zamierzam tego robić, **owszem jako chrześcijanka, dawno wybaczyłam mordercom ich bestialstwo, ale niech mnie nawet nikt nie prosi, abym wyrzuciła to z serca, abym pozwoliła zatrzeć ślad życia, tamtych naszych Braci i Sióstr w moim sercu. To jest niemożliwe, nigdy nie zapomnę Ich ofiary z najcenniejszego życia, właśnie za mnie, za nasze rodziny, za Polskę ojczyznę naszą, dziś wolną i piękną. To właśnie owoc Ich cierpienia i modlitwy, to właśnie Ich najwyższa ofiara budowała i wciąż buduje także dziś, naszą szczęśliwą codzienność.**

Z taką głową, która pękała mi dosłownie, od tych wszystkich myśli i wizji, dojechaliśmy wreszcie taksówką do Swojczowa i zatrzymaliśmy się w miejscu, gdzie dawniej stała Cerkiew ukraińska. Nie sposób opisać tego co czułam, gdy postawiłam pierwszy krok na mojej umiłowanej ziemi rodzinnej, z ciekawością rozglądałam się, mając nadzieję, że dojrzę w końcu jakiś znajomy szczegół. To niestety okazało się bardzo trudne, bowiem nasz dawny i piękny Swojczów właściwie nie istnieje. Rozciągają się tam puste place i pola, a najbliższe zabudowania, które zachowały się jeszcze sprzed wojny, to o dziwo właśnie dom Buczka, ten dom w którym więziono nieszczęsną rodzinę Krzysztofów. Zatrzymałam się też, obok jeszcze stojącej, dawnej kuźni Dobrowolskich, gdzie zauważyłam bardzo już wiekową staruszkę. Podeszłam do niej z mężem bowiem znajdowała się stosunkowo blisko szosy i natychmiast rozpoznałam w niej Ukrainkę o nazwisku Jasina lat już około 86. Ona tymczasem na początku mnie nie poznała i dopiero jak się jej przedstawiłam, wpiętro trochę pomyślała, a potem bardzo się rozradowała, że mnie jeszcze ujrzała. Niemal krzyczała z radości: **„Oje jej detino moja, o jak ja ucieszyła, oj doczka, oj sołtysa córka!”** I mówi do mnie: *„Gdybym mogła wstać to bym cię uścisnęła!”* Ja zaraz ją serdecznie pocałowałam, wzruszyła mnie szczerze jej radość i otwartość. Interesowało ją wszystko, ciągle zadawała pytanie: jak tam w Polsce, czy nie brakuje nam żywności, jak mój tatuś Jan i wielu innych, których znała osobiście. Chętnie odpowiadałam na jej pytania, a ona cieszyła się coraz bardziej. W pewnym momencie powiedziałam także: *„Ja z waszym synem Saniotą, chodziłam do jednej klasy w naszej szkole w Swojczowie.”* Ona zaś zasmuciła się, pokiwała znacząco głową i powiedziała ważne słowa: **„Mój synok też wzdał się!”** Zaraz też, bardzo wymownie machnęła z dezaprobatą ręką, tak że od razu doskonale wiedziałam, co miała w tym momencie na myśli. Ale ja, już podczas wojny wiedziałam, że on przystał do ukraińskiej bandy w lesie, wcześniej był ukraińskim policjantem na niemieckiej służbie i wiele razy przechadzał się z karabinem po naszej kolonii Teresin. Raz jeden nawet go spotkałam, zatrzymał się i uważnie wypytywał mnie o mieszkających w naszej kolonii Polaków.

Gdy tak razem z babunią w najlepsze sobie wspominałyśmy, ona sama wspominała tak: *„O Michalinki dzieci, tu u nas zostały, ja je tak bardzo szkodowałam, nosiłam im jeść, pomagałam im jak mogłam. Radziłam tej największej dziewczynce, aby dla rodzeństwa i dla siebie ziemniaków nakopała, nasze jednak, jak mieli ich pomordować, zabrali ich z domu i poprowadzili do piwnicy Buczka.”* I w tym momencie nieznacznie wskazała ręką za mnie i powiedziała znacząco: *„O Matryfan Ich pobili!”* I dodała jeszcze cicho: **„Te małe to na sztachetę żywcem nasadził, to większe to niósł w powietrzu za jedną rękę, a w drugiej miał siekiere, którą kilka razy uderzył dziecko w głowę.”** O najstarszym nie wspomniała, bowiem mnie po tych słowach zatrzęsło z bólu i złości i powiedziałam przerywając jej: *„Wam to łatwo nie przejdzie, bo my Polacy rozsiani po całym świecie w Ameryce i poza granicami i my o tem nie zapomnimy !”* Ona tymczasem rzekła głośno do swojego sąsiada, który właśnie wyszedł ze swojej chaty po wodę: **„Matryfan ty znajesz kto to?! To doczka sołtysa Rusieckocho!”** Ale on, tylko mruknął coś pod nosem i poszedł przez szosę z wodą, przy czym ręka mu się trzęsła jak w galarecie. Widać było gołym okiem, że go ta niespodziewana wizyta, raczej niemile zaskoczyła. Po chwili drogą szła jeszcze jej córka Małaszką, babcia ją zawołała, ale choć była moją koleżanką ze szkoły, nie poznała mnie, dopiero jak jej powiedziałam słowa naszej piosenki, przypomniała sobie mnie, mówiąc: *„Zaprosiłabym was do domu na czaj, ale*

*muszę lecieć do sklepu bo przywieźli chleb na cały tydzień.*” I pobiegła dalej, a my jeszcze chwilę razem rozmawialiśmy, a potem się rozstaliśmy.

#### **JAK UKRAIŃCY „WYRYWALI” OSTATNIE POLSKIE DUSZE**

Polka Józefa Kukulka mieszkała na Teresinie, aż do sierpniowego pogromu ludności polskiej. Barbarzyńską rozprawę szczęśliwie przeżyła, a potem udała się do ukraińskiej wsi Poczekajka. Żyła tam wraz z Ukraińcem o nazwisku Bołwach, który po przyjeździe na te ziemie Sowietów w 1944 r. został urzędnikiem sowieckiej spółdzielni. Poznali się oboje bardzo dobrze i tak Józia odważyła się, na razie przynajmniej, zamieszkać pośród Ukraińców, nabrała już nadziei, że straszne czasy odeszły bezpowrotnie i uda jej się tu życie ocalić. Była przy tym ładną i zgrabną kobietą, pamiętam że dobrze wychowaną. Niestety jakże się myliła, kiedy w samo Boże Narodzenie 1944 r., na jej podwórzu, gdzie mieszkała, przyszedł Ukraińiec Bołwach, w którym się chyba nawet dziewczę zakochało i zabrał ją na przyjemny i pełny niespodzianek spacer do Teresina. Zgodziła się i poszli polami w stronę gospodarstwa Wawrynowiczów. Gdy weszli na podwórko Wawrynowicza, wtedy nieoczekiwanie, ze stodoły wyskoczyło dwóch Ukraińców, którzy wzięli ją pod rękę i siłą zaciągnęli do studni. Jej dotychczasowy przyjaciel, wcale jej nie bronił, może ze strachu odjął mu głowę i rękę, tymczasem bandyci, bez wahania i od razu, pchneli ją głową do studni, widać było, że mają już nie lada wprawę. A była to studnia, może nawet 70 metrów głęboka. Tę straszną historię opowiedział mi tatuś Jan, a sam dowiedział się od jednego Ukraińca, którego spotkał we Włodzimierzu na ulicy Lotniczej. Ukraińiec ten nazywał się Honyszko, poznał ojca i chwilę z nim na boku rozmawiał, bywał bowiem wcześniej, jeszcze przed wojną, wiele razy w naszym domu na Teresinie.

Józefa Żołnierczyk z domu Denkiewicz była Polką i pochodziła ze wsi Kamelówka, dobrze znałam jej rodzeństwo: Helenę i brata Kazimierza. Wyszła za mąż za Polaka Żołnierczyka i zamieszkali razem na Teresinie. Kiedy zaczęły się mordy na ludności polskiej, on podawał się powszechnie, że jest Ukraińcem dlatego, gdy inni uciekali ona została, bowiem czuła się bezpiecznie. Kiedy jednak Teresin opustoszał po strasznej rzezi, przeniosła się z powrotem, do rodzinnego domu na Kamelówce, mieszkała tam jeszcze po przyjeździe Sowietów. Miała jedno dziecko, które zostawił jej mąż, po pierwszej swojej żonie, sam przy tym zmarł, a ją biedaczkę zostawił samą.

Los sprawił, że właśnie do tego samego domu, sprowadziła się sołtysowa z Teresina, już wdowa Środowa ze swoją córką Nadią. Sołtysa Środę zabili nieco wcześniej sami Ukraińcy, ponieważ sądzili, że postradał zmysły. Nadia miała narzeczonego i bardzo się oboje lubili, ale niestety to był człowiek obciążony przeszłością; REZUN, na jego rękach była jeszcze świeża i niewinna, polska krew. Na Boże Narodzenie 1944 r., przyszedł do Nadii ze swoim kolegą i wspólnie sobie popili, w końcu jednak ten koleżka mówi: „*Mam ochotę zabić Polaka!*” A chłopak Nadii: „*Choć ja wiem gdzie!*” Nadia natychmiast domyśliła się kogo chcą zamordować i powiedziała stanowczo: „*Jak tylko pójdziesz, to pamiętaj: nie pokazuj mi się na oczy!*” Choć się po tych słowach zawahał, ale koleżka okazał się silniejszy, pociągnął go i poszli. Całą tę scenę osobiście widziała i słyszała, mała polska dziewczynka Rozalia Bojko, którą opiekowała się Środowa i sama Nadia, była bowiem w tym samym pokoju, w którym ci zwyrodnialcy bawili się, a potem tak haniebnie namawiali. Co więcej, po chwili dziecko słyszało wyraźnie jak biedna Józia prosi za ścianą o darowanie jej życia, prosiła gorąco, aby jej nie zabijali. Jednak oni jej nie słuchali i już za moment usłyszała jej krzyki: „*O Jezu! O Jezu!*”, potem usłyszała głos Ukraińca: „*Dawaj Rucznika!*” Od tej pory słyszała już tylko chrapanie konającej kobiety. Tak bestialsko ją zadusili. A za chwilę weszli z powrotem do tego pokoju gdzie wciąż była Nadia i jej matka. Mała Rózia bojąc się strasznie bandytów, schowała się głęboko pod pierzynę, jednak chłopak Nadii podszedł do łóżka, odkrył pierzynę i mówi do dziecka: „*Mów pacierz!*” Nadia w tym czasie, obawiając się, że chce to dziecko zamordować, zaczęła na niego mocno krzyczeć i w rezultacie udało się je uratować. Słyszałam także, że ta ludzka dziewczyna Nadia, tego zbrodniarza za męża już potem nie chciała.

#### **OSTATNI AKT WOŁYŃSKIEGO DRAMATU**

Trzeciego dnia grudnia 1943 r. jechały tabory niemieckie, chyba cofał się front. Ojciec bał się, aby nie zabrali mu konie, zabijał i zabezpieczał deskami. Jednego dnia zerwał się już o 06.00

rano i poszedł do koni, nagle usłyszał straszny krzyk. Natychmiast zawołał na nas: „*Chowajcie się, bo za ścianą mordują Niewiadomskich, a ja jeśli zdążę zaprząć konie, to jadę na Bielin.*” Ja cała przerażona, złapałam trzy letnie dziecko i worek ubrań, ponieważ tatuś mówił, że będzie jechał na Bielin, co chwilę rozglądałam się, czy może jeszcze go nie widać. Tymczasem ojciec, który był człowiekiem dobrym i uczynnym obudził naszych sąsiadów, a sam poleciał, tam skąd dochodziły te wrzaski. Okazało się, że to szczur wskoczył na kobietę, a ona bardzo się wystraszyła. Jednak ja o tym nie wiedziałam, tylko szłam w stronę Bielina, był straszny mróz, a ja miałam do przejścia 3 km. Mimo to szłam prawie cały dzień, dziecko i moje spodnie, zamarły prawie na amen, ja sama nie miałam siły iść dalej. Zatrzymałam się, w pustym domu na Hanusinie, ukraińskiej wsi i czekałam tylko, kiedy nas tam usieczą. W końcu położyłam się spać na suchej słomie. Około 23.00 jechał znajomy Woronczuk, zobaczył jakie grozi nam niebezpieczeństwo i natychmiast powiadomił kogo trzeba na placówce.

Usłyszał to Stanisław Bojko i sądził, że to jego bratowa uciekła z pogromu i zaraz przyjechał po mnie, a wraz z nim inny jeszcze Polak z Włodzimierzówki lub Zimna. Dopiero później dowiedziałam się, że zamordowali mu żonę i troje dzieci. Ponieważ jako pierwszy wszedł owy nieznajomy, byłam niemal pewna, że to moje ostatnie chwile, w duchu szeptałam już tylko: „**Boże odpuść grzechy!**” Spieszenie powiedziałam, że jestem Polką i właśnie uciekałam z Włodzimierza, teraz dopiero dowiedziałam się, że tam panuje zupełny spokój. Oczywiście udzielili mi zaraz pomocy i tak trafiłam na placówkę, do domu Szwedów na Kalinówce. Gdy w nocy, miejscowi ludzie uciekali do schronów, ja nie wiedziałam co mam robić, nawet nie wiedziałam czy to Ukraińcy, czy Polacy. Rano przyszedł ich syn, był uzbrojony i wziął mnie na przesłuchanie, opowiedziałam mu całą prawdę. Widać uwierzył mi i okazując zrozumienie zapytał matkę, czy dała mi coś do jedzenia. Już od dwóch dni byłam głodna. Dopiero on kazał mnie nakarmić i spokojnie spytał, czy chcę się skontaktować z ojcem. Nie tylko chciałam, ale poprosiłam o to, wtedy on chętnie zajął się dzieckiem, a ja poszłam z meldunkiem do Włodzimierza Wołyńskiego. Pytali się przy okazji, czy umiem jeździć konno i obiecali konia.

Pamiętam, że był taki czas, kiedy moja siostra Adelka, obecnie nazywa się Roch, pracowała w niemieckich koszarach, przynosiła wtedy nie tylko żywność, ale potrafiła i naboiki nakraść Szwabom. Tak więc od czasu do czasu, ja i ona właśnie, wspólnie nosiłyśmy na Bielin amunicję, razem wyniosłyśmy może nawet wiadro naboiki. O mało nie skończyło się to dla nas tragicznie, gdy jednego razu Niemiec, jak zwykle zatrzymał nas na przepisową kontrolę. Pytał o Aszwajz! Powiedziałam: „Nicht meine schwester.” Ledwie on odwrócił się do mojej siostry, gdy mi wypadły na ziemię naboiki, które miałam schowane za pazuchą. Na szczęście wartownik, nic nie przyuważał albo nie chciał, a ja szybko ponownie ukryłam je gdzie trzeba. Przyniesioną amunicję odbierał od nas Ludwik Szweda, taki miał prawdopodobnie pseudonim, zapamiętałam że miał jeszcze brata Jacka lat 10 i siostrę Tereskę lat około 16.

Innym razem wiozłam meldunek konno, prawdopodobnie ważny rozkaz zerwania mostu w Cipcikowie, tymczasem w mieście jazda konno była zabroniona. Przy koszarach na warcie stali chyba Gruzini, nagle nieoczekiwanie, ktoś zaczął strzelać, nie wiedziałam skąd i do kogo, pytałam dwie dziewczynki, które właśnie tamtędy przechodziły. Widzę, że dwóch wartowników wychodzi z okopu, koń jest niespokojny, a oni zaczynają do mnie strzelać. Choć rzucam się do gwałtownej ucieczki, moje życie wisi niemal na włosku, mimo że koń był wojskowy, wyćwiczony i jechał wzdłuż strzałów został, aż trzy razy raniony. Ale i tym razem szczęście mi sprzyjało i meldunek dostarczyłam na miejsce. Jednak więcej meldunków już nie chciałam wozić, bowiem miałam małe dziecko. Ludwik dobrze nam doradził i znalazłam się na placówce w Wodzinowie, gdzie spotkałam dobrą koleżankę z Teresina Matyldę Kukulka. Już za kilka dni miałam okazję razem z nią, przeżywać pogrzeb jej męża, który zginął na placówce. Biedaczka nawet nie była na pogrzebie, poszła do Włodzimierza, prosiłam ją by wstąpiła do tatusia i poinformowała wszystkich, że jestem póki co bezpieczna i mam się stosunkowo dobrze. W tym czasie kiedy przebywałam na Wodzinowie, gotowałam stawy dla partyzantów, zauważyłam że ukrywa się tam także czterech Żydów z miasta. Ich zadaniem było dojenie krów i oprawianie mięsa bydłęcego na potrzeby polskiej partyzantki i oczywiście świetnie sobie radzili.

12 lutego 1944 r. placówka przenosiła się na Edwardpole, chcieli mnie zabrać, ale nie zgodziłam się z uwagi na małe dziecko. Więc zostawili mi trochę żywności i odjechali, a ja

czekałam na tatusia, który rzeczywiście przyjechał na wieczór. Ledwie załadowaliśmy wszystko na wóz, nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły bombardować, na szczęście zdążyliśmy ukryć się pod mostem. Raniutko zaś wyruszyliśmy do Włodzimierza, ale w drodze nieoczekiwanie natknęliśmy się na ukraiński patrol. Nasz tatuś również nie miał złudzeń i kazał przygotować się na najgorsze modlitwą: „*Boże odpuść grzechy!*” Poprosili dokumenty i kazali ojcu się rozbierać, stałam w tym czasie obok sani, gdy nagle moje malutkie dziecko ni stąd, ni oąd zwołało: „*Jedź! Co ten durny chce!*” Niewiarygodne, ale popatrzyli na siebie i po prostu puścili nas wolno dalej. Doprawdy czy Ukraińców, a szczególnie rezunów, można w ogóle zrozumieć i przewidzieć ich postępowanie?! Jedziemy więc dalej patrzymy, a w okopie siedzi dwóch bandytów z karabinem maszynowym. I tym razem szykujemy się na śmierć, a tatuś poczyną z nimi rozmawiać po ukraińsku, udało się ich zmylić i uwierzyli, że my Ukraińcy. Puścili nas, potem jednak coś im się odwidziało i zaczęli do nas strzelać, choć ranili tatusia, zdołaliśmy i tym razem uniknąć śmierci. Rana mocno krwawiła, właściwie od tego momentu, zaczęły się jego kłopoty ze zdrowiem.

To były już dosłownie, nasze ostatnie akordy na rodzinnej Ziemi. Niemcy cofali się na całej swojej długości, uciekali ku naszej wielkiej radości, że naszym śmiertelnym wrogiem, usuwa się grunt pod nogami. Około tygodnia, po przejściu frontu niemieckiego, pamiętam ten dzień, to była sobota, a my nie mieliśmy co jeść. Tatuś Jan zdecydował, że jeszcze raz wybierze się w nasze rodzinne strony, aby zdobyć dla nas trochę żywności i rzeczywiście pojechał. Zatrzymał się na końcu wsi Teresin, u naszego sołtysa Rycia Stolaruka, z którym przyjaźnie rozmawiał na jego podwórzu, on jednak ostrzegł go, szeptaając cicho te słowa: „*Uciekajcie Rusiecki, bo u nas jest pełno żandarmów w kłunie!*” Dostrzegając niebezpieczeństwo, tatuś szybko opuścił Teresin i wyjechał do Swojczowa, było tam bowiem jeszcze nasze pole, które właśnie obsiewał znajomy Ukrainiec. W rozmowie z tatusiem był uprzejmy i zapewnił, że jeśli tu jeszcze wrócimy, odstąpi nam dużą część z plonów, zebranych na naszym polu. Przyjaźnie uprzedził nas jednak, abyśmy na razie nie wracali w te strony, bowiem: „*Panie Rusiecki jeszcze nie czas wracać wam, jeszcze u nas bardzo niebezpiecznie!*” Tak to właśnie nasz tatuś Jan pożegnał się z Ziemią, na której tyle potu wylał i dla której on sam i jego przodkowie, tak dużo dobrego w swoim czasie uczynili. Ale nic to, trzeba nam dzisiaj w duchu zawierzenia Bożej Opatrzności powiedzieć tak: „**Bóg dał i Bóg zabrał! Niech się dzieje wola Nieba z nią się zawsze zgadzać trzeba!**”

Jeśli chodzi o odszkodowania za pozostawione tam mienie, to oczywiście całym sercem popieram wszystkie prace zmierzające do sprawiedliwego uregulowania tej kwestii. Modłę się i proszę, aby ten nabrzmiały problem w końcu po chrześcijańsku rozwiązać i raz na zawsze zakończyć, niech i to nas nie dzieli, ale łączy. Swoją drogą jestem realistką i mam nadzieję, że się mylę, ale jestem właściwie niemal pewna, że jeszcze dużo wody upłynie w Wiśle, a jeszcze więcej w Dnieprze, nim cokolwiek w tej gestii zostanie załatwione. Dlaczego, odpowiedź nie jest łatwa, ale każdy który choć trochę interesuje się tymi sprawami: stosunkami polsko - ukraińskimi, wie że my Polacy zawsze mieliśmy tą słabość do Kresów, do tych kresowych: „Sokołów”. Nic więc dziwnego, że na przestrzeni całych wieków, raczej woleliśmy w Rusinach mieć przyjaciół niż wrogów, no bo przecież „zielona i wielka Ukraina”. A o tym, że oni nam Lachom, co pewien czas policzą zebra siekierą, to już trudno pamiętać, bo..... przecież „Kresy i zielona Ukraina”. I tak w koło Macieju: „zielona Ukraina i siekierka, siekierka i zielona Ukraina”! Nic więc dziwnego, że dziś co pewien czas słyszymy tu i tam, o budowaniu strategicznego partnerstwa między naszymi państwami, a jeszcze częściej o tym, że dziś trzeba patrzeć w przyszłość. Cóż! Rzeczywiście nie łatwo jest patrzeć w drugą stronę, przecież nasza wspólna przeszłość, niekiedy była dla nas nawet więcej niż okrutna, a to cięży! Pragnę jednak zapytać wszystkich, tak właśnie myślących: czy tylko cięży? Otóż nie tylko, bo przede wszystkim jest wyzwaniem i wielką szansą. Nasz Pan Jezus Chrystus na pewno nie mylił się gdy mówił: „**Tam gdzie wzmożł się grzech, tam jeszcze większa rozlała się łaska!**”, ale te słowa trzeba znać i o tym trzeba pamiętać. Co więcej, trzeba wprowadzać tę naukę w życie, a więc swoim życiem urzeczywistniać. To zaś nie stanie się, jeśli nie będzie nazwania zła po imieniu, po prostu sadysta jest sadystą, a bandyta to bandyta. Dopiero potem można mówić o obupólnym przebaczeniu i co bardzo ważne: musi być pełne zadośćuczynienie, także materialne.

## OPUSZCZAMY ZIMIEŃ OJCÓW

We Włodzimierzu Wołyńskim nasza rodzina przebywała z przerwami od tragicznego lipca 1943 r. do 16 lutego 1944 r., kiedy to wyruszyliśmy za rzekę Bug. Była to niemal wyprawa, wraz z nami organizowali się nasi sąsiedzi i znajomi, a ponadto dostaliśmy nawet Niemca jako przewodnika. Niemiec był uzbrojony, a jego zadaniem było doprowadzić nas bezpiecznie do samego Zamościa, już po drugiej stronie rzeki. Na owe czasy, była to pomoc nieoceniona, także słowa tatusia Jana, który fałszywie zapewniał Niemców, że zamierza jechać wraz z całą rodziną do III Rzeszy. A droga była bardzo niebezpieczna, szybko się o tym przekonaliśmy, gdy spośród jadących, Ukraińcy zabrali na przesłuchanie kilku młodych i sprawnych chłopaków, w tym: Bolesława Bojko, Władysława Karbowiaka i Antoniego Buczko. Zaprowadzono ich na komendę i tam niemiłosiernie katowano, aż trudno było wytrzymać, żeby to słuchać, serce się ścisnęło i łzy napływały do oczu, bo nie mogliśmy im pomóc. Jeszcze tamtych nie puścili, a już przyszli po raz drugi i zabrali następnych, w tym tatusia Jana. Kto wie, ale może właśnie to uratowało życie pozostałym bowiem ojciec, który dobrze znał język niemiecki, dość szybko zorientował się w zbrodniczej i misternej robocie ukraińskiego tłumacza.

Niemcy, którzy prowadzili przesłuchanie, zadawali wiele pytań, głównie dotyczących udziału w konspiracji, w szeregach 27 WDP AK oraz ewentualnego pobytu na Bielinie. Polacy oczywiście zaprzeczali stawianym zarzutom, ale Ukrainiec przekręcał ich odpowiedzi, na niekorzyść przesłuchiwanym i zapewne na „chwałę samostijnej Ukrainy”! Tatuś odważył się ratować biedaków i doniósł Niemcom o haniebnej robocie tłumacza, trafił dość dobrze, bowiem Szwab oburzył się bardzo, wydarł się z furją na Ukraińca i wygnał z sali. Mocno pobitych Polaków zaś, puścił wolno i nawet radził, aby Ukraińskiej policji wcale nie dopuszczać do naszych wozów, gdyby jednak sami się nawinęli, polecił zgłosić to do nich. Tak oto paradoksalnie, właśnie Niemcy, nie pierwszy i chyba nie ostatni już raz, chronili nas przed rozjuszoną ukraińską nienawiścią, zdolną do ohydnej zbrodni i największej podłości. A przecież, jeszcze nie tak wcale dawno, tak wielu myślało zupełnie inaczej.

Tego dnia nie dostaliśmy się za Bug i nocowaliśmy w miasteczku Uściług przed mostem, a była zima i straszne mrozy. Dopiero następnego dnia, wymarznionych niemal na kość, wpuszczono nas około 10.00 na most, niestety ku naszemu zaskoczeniu na tym się skończyło. Mróz trząsał, a wiatr dawał nam teraz do vivatu, niemal z każdej strony. Nie wszyscy wytrzymali tę kolejną próbę, tam na moście do wieczności odeszły dwie osoby, zamarzyły na śmierć. Mało brakowało, a ja sama dołączyłabym do tej smutnej statystyki, na szczęście w krytycznym momencie ruszyliśmy, a tatuś biorąc mnie pod ramię, ostro nakazał mi iść dalej i nie zatrzymywać się wcale. Po chwili poczułam ogarniające mnie ciepło i wracające życie, byłam uratowana.

## NA ZAMOJSZCZYŹNIE

Gdy przekroczyliśmy rzekę, czekał już na nas znajomy ojca, nazywał się Pieniak, radził nam dobrze, aby dalej nie jechać ponieważ Niemiec zagoni nas w Zamościu za druty, mówił tak: *„Będzie najbliższe rozkrzyżowanie to się rozjeżdżajcie, każdy w inną stronę. Jednego zabije, ale reszta ucieknie i tak nie wszyscy zginiecie.”* Ojciec uwierzył mu i namówił się ze wszystkimi, że jak będzie najbliższe rozkrzyżowanie, to każdy daje susa w inną stronę, a był taki głęboki śnieg, że nie było prawa zboczyć z drogi. Gdy nastał stosowny czas mój tatuś skręcił pierwszy w boczną drogę, Niemiec który zorientował się błyskawicznie w tym co się święci, podleciał do niego, nastawił karabin i zaczął grozić. Szybko jednak musiał ustąpić, gdy inni społem krzyknęli na niego: *„Spróbuj no tylko, a łopatami pošlemy cię na tamten świat !”* Biedne szwabisko płakał, ale właściwie i tak miał szczęście, że go tam nie ukatrupiliśmy, chcieliśmy żyć, a zbyt wiele już przeszliśmy i nie jednemu, nerwy odmawiały posłuszeństwa. Tymczasem zakopaliśmy się na dobre w śniegu i godzinami nie mogliśmy ruszyć dalej, w końcu umęczeni wjechaliśmy do wsi Rogalin. Pragnęliśmy chociaż trochę się ogrzać, mieliśmy ze sobą przecież ośmioro dzieci, tymczasem do pierwszego domu nas nie wpuścili. Mało tego, mało nam się nie oberwało od gospodyni szczotą i chociaż brat chciał jej zapłacić, trzasnęła nam drzwiami przed nosem, to była Polka.

Faktem było jednak to, że w całym Rogalinie było już tylu uciekinierów, że nie sposób było znaleźć miejsce na wóz. Pomimo tych trudności byłam zdesperowana, gdyż niemal na skraju wyczerpania, dlatego poszłam do stajni i dogrzebałam się do ciepłego gnoju, potem położyłam się pod żłobem. Do dziś pamiętam tamtą chwilę, w której nie dbałam już nawet o swoje dziecko, to

było straszne, oby nasze dzieci i wnuki nigdy nie musiały doświadczać tego ponownie. Na domiar złego zauważyła mnie „miłosierna gosposia”, wzięła bosaka i poczęła się na mnie strasznie wydzierać: „*Zabiję cię! Uciekaj stąd bo cię zabiję!*” Niestety bardzo źle trafiła, strachy na Lachy, a ja właśnie na to czekałam. Widząc, że nic nie wskóra, dała sobie i mi wreszcie spokój i poszła do swojego domu. Ja tymczasem, tak gorąco zachęcona przez gospodynię, nie miała ochoty dłużej u niej przestawać i gdy tylko trochę się ogrzałam poszłam dalej.

Na końcu wioski, mieszkał gospodarz o nazwisku Rębacz oraz dwoje jego dorosłych dzieci. Jego syn był już żonaty, kiedy Niemcy zabrali go do obozu, przebywał w Chelmie i tam pracował. Córka Rębacza miała 18 lat i była już po szkole krawieckiej we Włodzimierzu, miała na imię Teresa. Od pewnego czasu, o jej rękę zabiegał młody chłopak Juliusz Pic, który od pewnego czasu już u nich zamieszkał. Teraz rozpoznał mojego brata Leonarda, a był jego prawdziwym przyjacielem. Widząc w jak opłakanym znajdujemy się stanie, zaczął błagać gospodarzy, aby nas przyjęli, aby udzielili nam schronienia bo ginimy, prosił: „***Panie Rębacz niech pan przyjmie mojego przyjaciela z rodziną do siebie! Patrz pan giną w oczach na tym mrozie i śniegu. A te dziecięta, przecież to się nie godzi ich tak zostawić! Jak ich nie przyjmiecie, to ja waszej Tereski na oczy nie chcę widzieć, a zaraz pójdę i powieszę się w waszej stodole.***” Nie wiem czy mu Rębacz uwierzył, dość powiedzieć na tym, że biadolił, że miejsca nie ma, ale w końcu dał zgodę i chociaż miało być 5 osób, a zważyło się 12, nie robił już potem większych problemów. Kiedy na dworze wciąż szalała zawieja my byliśmy już bezpieczni w stodole, a dla dzieci znalazło się nawet miejsce w domu, byli państwo Rębacze bardzo dobrzy. Dzieci bardzo kaszlały, więc zaraz znalazło się dla nich jajko i po garści cukru. Kiedy gospodyni przyniosła także miskę kiszanej kapusty, mamusia poprosiła, aby mogła tej kapusty ugotować, potem znalazła się jeszcze szklanka mąki i choć nie było tłuszczu, nie pamiętam, abym kiedykolwiek jadła taką kapustę! Po raz kolejny w swoim życiu doświadczyłam, że głód to wielka siła.

Rano mój brat Leonard oraz nasz tata udali się pieszo do Hordła, szukali tam miejsca dla nas wszystkich i znaleźli. Pan Barański potrzebował pieniędzy, aby ogrzać swój dom, w którym mieszkał samotnie wraz ze swoją córką Genowefą. Ach! Cóż to byli za dobrzy ludzie, trudno doprawdy opisać, mieszkaliśmy u nich, aż do wkroczenia Sowietów. Gdy przyszło nasze wojsko, brat Leonard jako plutonowy, otrzymał powołanie do polskiej armii i od tej pory pisał do nas listy. Tęsknił za żoną Heleną i trójką dzieci: Czesławą, Piotrusiem oraz za ledwie 2-letnim Romanem, póki co nie mógł do nich przyjechać, bowiem zdobywał Niemcy. Ostatni list napisał w kwietniu 1945 r., a w nim między innymi takie, oto słowa: „*Jak dziś przeżyję to będę żył!*” Niestety, nie było mu już dane więcej zobaczyć nas wszystkich, miał dobre przeczucie. Zginął w Toroszowie, podczas największej ofensywy.

Niedługo później otrzymaliśmy tę smutną wiadomość, gdy przyszedł list z pułku, dowiedzieliśmy się, że brat dostał odłamkiem bomby i to tak nieszczęśliwie, że wyrwało mu pół lewego uda. Próbowano go jeszcze ratować, ale już z tego nie wyszedł. Jego ciało zostało złożone na cmentarzu wojskowym w Zgorzelcu. Wieść o śmierci brata była prawdziwym ciosem dla mamy Zofii i bratowej Helenki, obie strasznie płakały. W Horodle zamówiliśmy Mszę Świętą, wszyscy mieli obowiązek pójść do spowiedzi i do Komunii świętej. W Horodle nie bardzo ludzie byli wierzący, bardzo mało ludzi chodziło do Kościoła. Nabożeństwo się odbyło, księdzu spodobało się moje czteroletnie dziecko, z którym chętnie chwilę pogaworzył, potem poprosił mnie na plebanię i zachęcał, abym przyszła po zapomogę. A ja tylko zapłakałam i powiedziałam, że nie przyjdę, mimo wszystko jakieś dobre kobiety przyniosły to i owo do jedzenia.

Niedługo później wyjechałam na Pomorze, tam wraz z frontem odwiedził mnie mąż Franciszek, potem poszedł dalej walczyć za Polskę. Na szczęście przeżył ten koszmar i powrócił do mnie i do dzieci, cały i zdrowy, tak rozpoczął się nowy etap naszego życia. Ostatecznie osiedliśmy z mężem na Ziemiach Odzyskanych, na Dolnym Śląsku, gdzie wychowaliśmy piękne dzieci i mamy kochane wnuki. Owszem życie jest cudowne, choć niełatwe i co najprawdziwsze, kiedyś musi się skończyć. Tak! Tak to już jest, że od kilku lat jestem wdową bowiem mój kochany Franuś odszedł. **Teraz tam czeka na mnie, tam gdzie jest najlepiej, tam gdzie mam szczerą nadzieję i głęboką wiarę, spotkamy się wszyscy znowu, już na zawsze. Tam nie będzie śmierci, bólu, łez i głodu, o Panie jak to dobrze, że dałeś nam miłość, wiarę i nadzieję, która zawieść nie może!** Jakże

ciężka do uniesienia byłaby śmierć, gdyby nie podtrzymywały nas, owa radosna nadzieja, że to tylko przejście stąd, tam..... do Niebiańskich Bram!

#### **DZIEKUJĘ CI MATKO MOJA.....**

To wszystko, o czym pisałam działo się tam, gdzie śmierć często miewała bliżej i biegła szybciej, niż Ci którzy uciekali, bo przecież szła do braci, a tu w Polsce? Jak było każdy wie. Na pewno, nie była to droga usłana różami, a jednak zwyciężyliśmy, ucieliśmy łeb „czerwonej hydrze” i dziś żyjemy już, w naprawdę wolnym kraju. Oby następne pokolenia, umiały docenić to morze krwi i łez, wylanych właśnie dla tej chwili, w której także obecnie żyjemy. Czy przyszło nam to łatwo, żywić nadzieję, że dość wyczerpująco ukazują to, te wspomnienia, jednakże w tych najbardziej trudnych chwilach, zawsze odczuwałam bliską obecność Najświętszej Marii Panny ze swojczowskiego wizerunku. Zawsze wiedziałam także, że to odczucie podziela setki i tysiące jej czcicieli na Wołyniu i nie tylko. Gdyby nie Ona, Niepokalana – Nasze Kochanie, z całą pewnością nie dalibyśmy rady. Jak więc mogłabym pogardzić tym wewnętrznym wołaniem serca, aby do niej pojechać, gdy się już odnalazła po wojnie w Otwocku pod Warszawą. Nie mogłam i nie chciałam nawet o tym myśleć, ale pojechałam, aby z bijącym sercem, ściśniętym do granic ludzkiej chyba wytrzymałości, mając oczy pełne łez, dziękować na kolanach za życie, za każdy dzień naszej tułaczki, kiedy była przy nas i nam z serca błogosławiła. O jak to dobrze mieć taką Matkę, o jak to dobrze mieć taką Królową, o jak to dobrze mieć takich rodziców, jakich miałam ja.

Tam w Otwocku, spotkałam też wielu moich rodaków, a nawet najbliższych znajomych z lat mojego dzieciństwa i młodości, trochę nas przeżyło. Każdy, kto raz choćby przeżył takie spotkanie po latach, doskonale wie, czym są te chwile dla każdego z nas. Niemal brakuje słów, aby opisać to wzruszenie, tę radość, która miesza się niekiedy z zamyśleniem i zadumą nad tymi, którzy nie mieli tyle szczęścia, co my tutaj właśnie, nad tymi którzy ginęli, jakże często na naszych oczach. Dla przykładu Helenka Nowaczyńska, była już jak wielu innych we Włodzimierzu, ale ponieważ wszystkiego w mieście brakowało, zdecydowała się wrócić do rodzinnego domu, aby zabrać jeszcze to i owo. Naładowała na wóz, co się dało i wyruszyła w drogę powrotną, niestety na Beheckiej grobli stała warta, oczywiście zawrócili ją z drogi. Od tej chwili ślad po niej zaginął, miała wtedy dziecinka zaledwie 13 latek. Historię tę opowiedział mi osobiście w Otwocku Edward Bis. Każdy z nas, to niemal żywa historia swojej rodziny, wsi, kolonii, naszej parafii. Wierne zastępy córek i synów, do końca trwających przy swojej Królowej na Swojczowie. To prawda, że kruszy nas czas i do Otwocka, co roku przyjeżdża nas coraz mniej, ale tam gdzie jesteśmy, tam też dajemy żywe świadectwo naszej wierności. W naszych domach, na naszych ścianach wciąż króluje Matka Boża Swojczowska, dziś także Otwocka. Serce moje i ufam, że serca nas wszystkich, wołają dziś z mocą do młodych: **„I niech tak pozostanie! Strzeżcie się, abyście nie zapomnieli o naszej ukochanej Matce i wybawicielce, Królowej w Otwocku i na Swojczowie, dziś i na wieki.”** Może to zabrzmiało, nawet trochę, jak mały testament, na pewno jednak jest to przesłanie naszego pokolenia dla tych, którzy idą w dziejowej pielgrzymce naszego Narodu, po Nas. A jest w tym pielgrzymowaniu naszego Narodu, ten niezwykle i zupełnie osobliwy urok, dar i skarb nieprzeliczalny, a co najistotniejsze: niezamienialny!

#### **RADIO MARYJA – MOJA RADOŚĆ I OPOKA**

Dziś mam 83 lata i codziennie doświadczam zarówno tych łask i dobrodziejstw, które niesie ze sobą jesień naszego życia, jak i bólu, cierpienia, które z tym wiekiem również związane jest mocną więzią. Staram się dzielnie stawiać czoła i tym wyzwaniom, zresztą zawsze taka byłam i dobrze na tym wychodziłam. W chwilach trudnych uciekam się do Krzyża naszego Pana Jezusa Chrystusa oraz do umiłowanej matki Bożej Swojczowskiej. Z miłością patrzę też na największego, jak dotychczas z rodu Polaków: Ojca Świętego Jana Pawła II, jego ofiara i cierpienie, jest dla mnie prawdziwym świadectwem, umiłowania życia aż do końca, aż po Golgotę i Krzyż Pański! Wierzę bowiem, że jego cierpienie to wielka ofiara za Polskę, skłócony świat i za mnie. Są jednak jeszcze inne światła nad Polską, które swoją modlitwą i miłością przybliżają Królestwo Niebieskie w naszej ojczyźnie, nie sposób wymienić wszystkie, ale pragnę wyróżnić umiłowane Radio Maryja. Całe to wspaniałe dzieło, które rozwinęło się dla wielkiej wiary i jeszcze większego serca Ojca Tadeusza Rydzika oraz wielu innych, jest moją wielką nadzieją na lepsze jutro i pewniejszą przyszłość. To potężna w swej mocy i łasce Bożej machina ewangelizacyjna, która skutecznie od dłuższego czasu

zmienia mnie, moją rodzinę, nasz kraj i Europę. Jakże gorąco dziękuję dziś Opatrzności Bożej, że dała nam tego wspaniałego Męża Opatrznościowego, mianowicie O. Tadeusza, jakże dziękuję dziś Matce Bożej Swojczowskiej, że zechciała przyjść do nas na falach swojego kochanego radia.

Jakże inaczej wyglądałby dzisiaj mój dzień, gdyby nie było tego światła nadziei, płynącego z Torunia, zapewne byłby markotniejszy i o wiele trudniejszy. Zapewne czułabym się o wiele bardziej samotna, a dziś czuję, że jestem częścią wielkiej rodziny Radia Maryja! Radia słucham codziennie, od rana do wieczora, w różnych godzinach, włączam sobie na różne audycje i od razu czuję się lepiej. Oczywiście staram się najczęściej trafiać na te audycje, które niosą ze sobą bogatą modlitwę, przede wszystkim: Msze Święte, jakże często z najpiękniejszych Sanktuariów Maryjnych w Polsce. Przez całe życie ciężko pracowałam, nie wszędzie udało mi się pojechać i raczej na pewno w wiele miejsc już nie pojedę, a tu mam na miejscu, mogę to przeżywać wraz z innymi, niemal tak jak bym tam sama była. Innym razem cieszę się tym wspaniałym błogosławieństwem papieskim w godzinie modlitwy Anioł Pański, a potem kochana Godzina Miłosierdzia Bożego, kiedy szczególnie staram się pamiętać o moich wnukach. Wieczorem zaś z utęsknieniem czekam na te dzwonki i fanfary z Kaplicy Cudownego Obrazu na Jasnej Górze. Ale nie tylko modlitwa cieszy moją duszę, toruńska rozgłośnia, to całe bogactwo, prawdziwa mozaika narodowych i patriotycznych audycji, które przypominają mi, że jestem Polką, że żyję w wolnym i niezależnym kraju, czy to się komuś podoba, czy akurat nie.

Radio to wspaniała encyklopedia etyczna, historyczna i kulturalna naszej chrześcijańskiej, narodowej kultury. O jakże bardzo bym pragnęła, aby moje świadectwo dotarło i mocno zagnieździło się w sercach moich dzieci i kochanych wnuków, o jakże bym chciała, aby tak jak ja umieli docenić to wielkie dobrodziejstwo, ten wspaniały dar Nieba na te jakże trudne czasy. Ile dzisiaj zła na świecie, już przecie o tym wyżej pisałam, a tu pod ręką taki pewny i niezmierny przewodnik: Ojciec Tadeusz jako sternik i jego kochana łajba – dzieło Radia Maryja!

#### KOCHAM I TRWAM

- I Mkną myśli jak burza, szarpią i pustoszą umysł.  
Dokąd dążą tak spieszenie, czy od tempa los zawisł?  
Zmagam się z duszą co kruszy grzechu kajdany  
Zglębiam ludzkie babwany i obmywam swe rany.*
- II Sam nie wiem, tęsknoty żar i czar chłonę  
Niemał co dzień usycham bez Ciebie i płonę!  
Po nocach śnię i gdy przyjdiesz do nóg upadam  
A rankiem pamięć piję, do serca przykładam.*
- III Wracam w te nasze miejsca, słucham te szepty  
Są bezcenne i takie wieczne, nie są do koperty.  
A jednak mi Ciebie brak, dryfuje mój świat  
W otchłanie się nurza, pośród raf rajski kwiat.*
- IV Okrutnej próby czas, dotyka sam czeluści właz  
Nie wejdę tam, gdy nadzieję mam, choćby ciężył głaz  
Raczej do Maryi przyłgnę i tu bezpiecznie spocznię  
Zagłębię się w różaniec, w skarbiec i od nowa zacznę.*
- V Będę prosił na kolanach, do gwiazd ile sił krzychał  
Rozpalę swe wnętrze, nie spocznię choćby zły ryczał.  
W iskrze lęk zgaszę i niczym meteor w czerń zapadnę  
Choć przegram świat z Tobą, na wieczność zmartwychwstanę!*
- VI Uwierzyć możesz? Spójrz i zapytaj raz jeszcze proszę:  
„Czy te oczy mogą kłamać?” Pod słońce Cię wynoszę  
W radości się kąpię i drogę wzmacniam, choć Ciebie żal  
Boś kości z ciała mego, a przed nami wciąż nieznana dal.*
- VII Przewożonych kopii stos, a w oczach ostry miecz.  
Rzeźko wezbrana pierś wygrywa los niczym nocny świerszcz.  
Po słowach się ugania i o miłość pyta, puka, kołacze  
Spocząć nie może, zatrzymać to? Ja żyję, gdyż walczę!*

Ten wiersz jest poświęconym Tym którzy kochają do końca..... S.T. Roch

Pragnę dzisiaj całym swoim sercem zaświadczyć, a nie porzucajcie doświadczenia i roztropności ludzi wiekowych jak ja, że to dzieło jest prawdziwym ratunkiem dla naszej ojczyzny na dziś i na jutro. To niejako koło ratunkowe, rzucone prosto z Nieba, na rozszalałe coraz bardziej morze namiętności naszej młodzieży. Modłę się abyście chcieli i umieli, znaleźć sobie miejsce na tym statku, abyście nigdy nie stanęli w szeregach tych, którzy często z wściekłą pianą na ustach, wszelkimi sposobami, usiłują ten okręt zatopić. Wiedźcie bowiem, że na dno, wraz z całą dzielną załogą, pójdzie wtedy także wasza babcia. Ufam jednak, że mojej rodzinie i naszej ojczyźnie wystarczy mądrości i nigdy nie dojdzie do tej katastrofy, a wzburzone bałwany morskiej piany nie zaleją nam ust i nie rozerwą naszych płuc. Ufam, że stanie się inaczej, że wytrzymała modlitwa milionów Polaków w Polsce i na całym świecie, uśmierzy gniew Boży i rozleje przeobfite błogosławieństwo na nas i na nasze dobre uczynki. Nasz kraj pięknie rozkwitnie, a jako prawdziwy ogród Boży rozwinie wspaniałe owoce i zasieje dobre ziarno. Dla takich dzieł z serca mego błogosławie!

### ZAKOŃCZENIE

Epoka w której przyszło żyć moim kochanym rodzicom, rodzeństwu i mi samej należała, rzeczywiście do rzędu tych, szczególnie wymagających, a nawet tragicznych. Dwie straszliwe wojny światowe, niemiłosierne, wręcz demoniczne oblicze niemieckiego faszyzmu i sowieckiego komunizmu, bestialstwo zdegenerowanych Ukraińców. To aż nadto, aby uniosło to wszystko tylko jedno serce. Nic więc dziwnego, że tak wielu moich kolegów i koleżanek, potraciłam w okolicznościach, o których właśnie pisałam w tych wspomnieniach. Nic w tym dziwnego, że tak wielu odeszło tuż po wojnie, ich wyniszczone organizmy domagały się wiecznego odpoczynku. Ja i moja rodzina mieliśmy dużo łaski Bożej i dużo szczęścia, sądzę że nie skłamię, jeśli w tym miejscu wymienię przede wszystkim te dwie osoby, którym wszyscy zawdzięczamy najwięcej, właściwie wszystko: to oczywiście nasi kochani i nieodżałowani: mamusia Zosia i tatuś Jan Rusieccy. To dzięki ich miłości przyszliśmy na świat, to ich żywy przykład zdrowej pobożności i umiłowanie modlitwy, wprowadziło nas na drogę wiary, po której choć nie łatwo, ale zawsze dochodzimy do rzeczywistej prawdy o nas samych i drugim człowieku. Dzięki ich wytrwałej i uczciwej pracy, nabraliśmy właściwego stosunku do życia i kiedy przyszła ta straszna próba, kiedy utraciliśmy właściwie wszystko, praktycznie nikt z nas, nie załamał się, ale dzielnie stawiał czoła komunistycznym eksperymentom na narodzie, w zniewolonej po wojnie Polsce. Wreszcie to najważniejsze: samo życie, nie ma cienia wątpliwości, że tylko ich niezwykle talenty, подарowane od Pana: mocnej, niezachwianej wiary, nadziei, miłości, męstwa i roztropności, pozwoliły nam w ogóle przeżyć wołyńskie piekło 1943 r.

Dziś dużo pisze się o tamtych wydarzeniach i coraz więcej osób, może dowiedzieć się o naszej narodowej tragedii. To dobrze, że znajdują się tacy ludzie, którzy pragną poświęcić swój czas, aby ocalić to wielkie dziedzictwo naszych ojców. Bez wątpienia nasza społeczność kresowa czy to na Wołyniu, czy też na Podolu, zasługuje na poczytne miejsce w panteonie naszej narodowej spuścizny religijnej i narodowej. Całe pokolenia pracowały bowiem w pocie czoła, aby tam rodzący się młody człowiek, kochał szczerze i całym, zawsze tylko gorącym sercem, na sampierw Boga, potem mamusię, tatusia, rodzinę swoją, a w dalszej konsekwencji ojczyznę swoją. O tak! Tam w Swojczowie na Wołyniu kochaliśmy wszystko, co polskie, byliśmy dumni, że jesteśmy Polakami, zarazem nie pogardzaliśmy obecną tam również, atrakcyjną kulturą ruską. Wręcz przeciwnie, chłonęliśmy ją, już od dzieciństwa, aby potem towarzyszyła mieszkającym tam Polakom, niekiedy nawet przez całe życie. To było naprawdę wspaniałe, kiedy Ukraińcy przychodzili w goście do naszych Kościołów i radośnie z nami świętowali, a my z kolei udawaliśmy się do Cerkwii, aby potem niekiedy do białego rana wspólnie śpiewać ukraińskie dumki, tańczyć skoczno gozaka i kosztować pysznego korowaja. Oczywiście takich przykładów, można by tu jeszcze przytoczyć bardzo wiele. Niestety, nieprzyjazny człowiek przyszedł i zniszczył nasze piękne wsie i miasteczka, pomordował naszych braci i siostry, a nasze umiłowane domy rodzinne spalił na pniu.

Czy wolno nam dziś to wszystko zapomnieć, czy możemy odwrócić się od tego niezwykłego dziedzictwa naszych przodków i czy w końcu, nie obróci się to kiedyś znów, przeciwko nam, jeśli dziś wzgardzimy ich ideałami, pracą i marzeniami. O nie! Tego nikomu, każdemu właściwie wychowanemu człowiekowi, czynić się nie godzi, dlatego całym sercem popieram pracę takich młodych historyków, jak pan Sławomir Roch. Cieszy to i nadzieją napawa

na przyszłość, że oto wnuk naszego brata Bolesława Roch ze wsi Kohylno – Zastawie, również należącej do dawnej naszej parafii Swojczów, zdobył nie tylko potrzebne wykształcenie, ale angażując się w swoją pracę, całym swoim sercem, pisze tę, tak potrzebną i tak oczekiwaną książkę pt.: „Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia”, o naszych wspólnych, wołyńskich korzeniach i losach. Wyrażam jemu, a przez jego ręce wszystkim, którzy pomagają w powstaniu tej pracy, serdeczną wdzięczność i z serca błogosławię wszystkim, dobrym dziełom poczynionym, na tym właśnie polu i dla realizacji tego wielkiego, wspólnego dobra nas wszystkich.

Powyższe wspomnienia, które osobiście podyktowałam panu Sławomirowi Roch, w moim domu we wsi Grochowa, gm. Bardo Śląskie od 08 do 15 lutego 2004 r., zostały mi przeczytane po przepisaniu na komputerze, a zawarte w nich treści, potwierdzam własnoręcznym podpisem:

Janina Topolanek

P.S.

Powyższe wspomnienia Janiny Topolanek z d. Rusiecka zostały spisane i po raz pierwszy opracowane w roku 2004, a już rok później stanowiły ważny rozdział książki: „Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia”, której drugą wersję ukończyłem w maju 2005 r. w Zamościu. Egzemplarze książki przesłałem do kilku ważnych archiwów w Polsce, w tym na Jasną Górę w Częstochowie oraz na Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie (na KUL w 2009 r., jako mój protest przeciwko nadaniu prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Juszczenko tytułu doktora h. c.). W końcu maja 2005 r. wyjechałem do Glasgow do Szkocji, by podjąć ciężką pracę, moja Ojczyzna nie pozostawiała mi bowiem specjalnego wyboru. Jeśli chciałem myśleć o opublikowaniu własnej książki, musiałem podjąć pracę w Wielkiej Brytanii. Początki nie były łatwe, ale obecnie moja pozycja jest dość stabilna.

Przez te wszystkie lata systematycznie podejmowałem także pracę (po godzinach) dla Kresów. Wiele wolnego czasu poświęciłem, na spisanie z roboczych zeszytów, wspomnień naocznych świadków wydarzeń na Wołyniu i Podolu, podczas II wojny światowej. Opracowane wspomnienia zostały opublikowane na wielu stronach w Internecie, trafiły do wielu archiwów w Polsce, oraz do samych autorów tych wydarzeń. Poza tym, wysłałem tysiące listów drogą poczty tradycyjnej, jak i elektronicznej i otrzymałem wiele odpowiedzi. Dla przykładu 18 kwietnia 2007 r. pani Janina Topolanek z d. Rusiecka pisała do mnie ze wsi Grochowa: *„Szanowny panie Sławku. Ślicznie dziękuję za listy, cieszę się bardzo, że jeszcze pamięta pan o mnie. Wreszcie odważyłam się napisać i podziękować za wszystkie listy które dostałam. [...] Chciałabym poznać pańską żonę. Serdecznie pozdrawiam Was oboje i całuję mocno. Janina”*

Pozostaje w kontakcie z wieloma osobami z Polski, które wciąż nadsyłają swoje relacje i uzupełniają ważne informacje o losach swoich najbliższych, na których wspomnienia natrafili w Internecie. Osoby te mając dostęp do nowych, nieznanych mi jeszcze faktów, nasyłają bardzo cenne materiały, które ja uważnie zamieszczam w książce. I tak, z Bożą pomocą, wciąż rozrasta się, bezcenna praca: „Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia”, o losach mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Swojczowie, podczas ostatniej II wojny światowej.

Powyższe Wspomnienia Janiny Topolanek zostały opracowane po latach, po raz drugi, tym razem na użytek internetu. Zdaję sobie sprawę, że i to opracowanie nie jest jeszcze w pełni profesjonalne, ale na pewno bardziej dostępne dla potencjalnego czytelnika, a przez to, więcej użyteczne. Czasy są bowiem bardzo trudne, a to co się dzieje w Polsce, oraz na Ukrainie, skłania nie tylko do refleksji nad naszą przeszłością, ale nawet do wzmożonej czujności, jeśli chodzi o naszą przyszłość. Zatem raz jeszcze, serdecznie polecam uważnej lekturze Wspomnienia pani Janiny, z nadzieją, że zrodzą one wyłącznie piękne owoce człowieczeństwa.

Z poważaniem  
Mgr historii Sławomir Tomasz Roch